

W NUMERZE: Niezwykłe losy rybaka z Łeby ■ Gdy chłop ma pecha ■ Jak pomóc kulturze? ■ Koniecznie przeczytajcie nową książkę Anatola Ulmana! ■ Zbadaj różdżką swoje mieszkanie... ■ Zima leśnych ludzi ■ Kiedy koniec utrapień z zakupami? ■ Co nowego w słupskim sporcie? ■ Urzędnicze rodowody ■ Informacje, ciekawostki i tygodniowy horoskop

zbliżenia

Pismo
PZPR

TYGODNIK SPOŁECZNO-POLITYCZNY NR 1 (107) ROK IV ■ 18 LUTEGO 1982 R. ■ CENA 10 ZŁ



Kto hoduje egoistów?

Egoizm dzieci i młodzieży, tak w życiu prywatnym jak społecznym, jest smutnym faktem. Od przedszkolaka po maturzystę dominuje postawa: społeczeństwo jest dla mnie, a nie ja dla ludzi. Czego żądają młodzi oraz najmłodsi?

Rzeczy, absolutnego pierwszeństwa (tak w życiu rodzinnym, jak i np. w zatłoczonym autobusie), bezkrytycznego ukochania i wygodnego życia. A co oni powinni również dawać? Nie tak znów wiele: okazać otoczeniu wrażliwość na małe i duże problemy, pomóc rodzicom i obcym w czasie wolnym, uczyć się nie dla stopni (jest to typowa motywacja każdego ucznia), lecz dla sensu własnego życia oraz zaspokojenia społecznych potrzeb. Przyczyna niewłaściwego stanu świadomości, co rzutuje na postępowanie młodego pokolenia, leży w wychowaniu, nie ulega to wątpliwości. Kto zawinił, co trzeba zrobić, aby stan ten się zmienił? Kurator oświaty i wychowania w Słupsku MARIAN ORŁOWICZ jest zdania, że:

— Utrwalił się w społecznym przekonaniu zarzut, że szkoła nie prowadziła dotychczas działalności wychowawczej, albo że prowadziła ją źle, nastawiona wyłącznie na kształcenie. Jest to głosiwe ujmowanie stanu rzeczy, bowiem wynika z założenia, że ciężar wychowania spoczywa tylko na placówkach oświatowych. Uczeń spędza w szkole tylko jedną czwartą doby, i to nie każdej, przez resztę czasu ulega wpływowi domu oraz pozaszkolnego otoczenia. My, myśląc o powszechnej oświacie, mamy szansę wziąć na swe barki i sumienia największą część odpowiedzialności za wychowanie, jeśli tego samego światopoglądu i tych samych norm moralnych będzie się

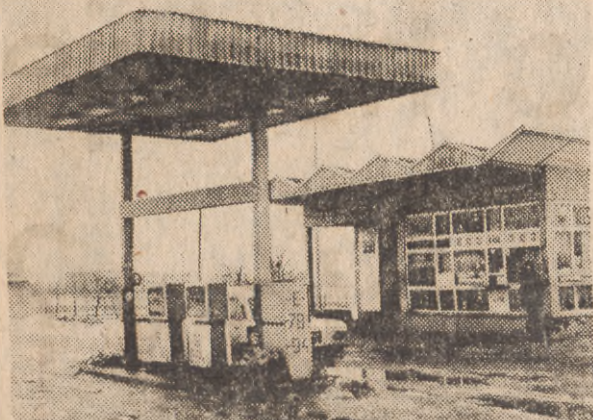
Nauczyciele znaleźli się w szczególnie trudnej sytuacji wskutek wielości wpływów oddziałujących na dzieci i młodzież szkolną. Szkoła jest dzisiaj tylko jednym z wielu czynników kształtujących wiedzę o życiu i postawę młodego pokolenia.

Fot. Jan Maziejuk

FOTO- ZBLIŻENIA



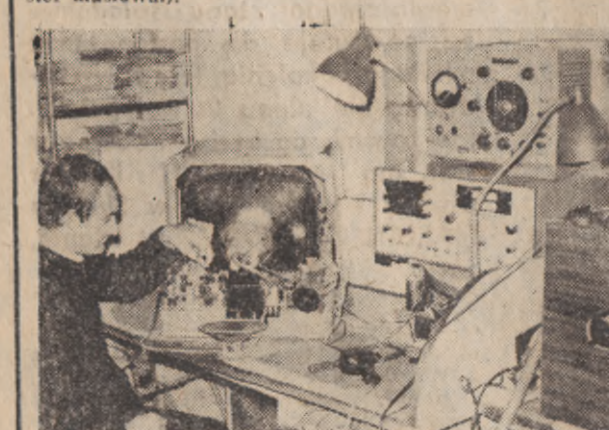
Laureatami wojewódzkiej nagrody za upowszechnianie kultury zostali Waldemar Pakulski — dziennikarz, kierownik oddziału „Głosu Pomorza” w Słupsku, Teresa Skórowa — dyrektor Biura Wystaw Artystycznych, Helena Bezeg — emerytka, przewodnicząca Koła Miłośników Muzyki STSK, Andrzej Turczyński — literat, Stanisław Turczyk — dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury, Józefa Sitarz — instruktor haftu z Miejskiego Domu Kultury w Człuchowie, Stanisław Sędek — dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Człuchowie, Ewelina Włodek — artysta plastyk, pracownik WSP w Słupsku. Gratulujemy!



Nareszcie trochę luzu na stacjach CPN! Ostatnio wprowadzone zasady sortowania paliw przyczyniły się (przynajmniej na razie) do uspokojenia tego podatnego na różne wahania rynku.



Nieduża mleczarnia we wsi Białogarda (należąca do Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Lęborku) uchowała się szczęśliwie w minionej dobie racjonalizacji i koncentracji produkcji, która doprowadziła do likwidacji wielu małych zakładów. Dostarcza na rynek masło wiejskie i twarogi (przy pracy Stanisława Poblocka — majster masłowni).



Nastala znów moda na stare telewizory, jeszcze kilka lat temu oddawane w sklepach przy okazji kupna nowych, brakuje bowiem nie tylko kolorowych, ale i tych czarno-białych. W punktach napraw gromadzą się stary aparaty o zapomnianych już nazwach — „Szafir”, „Alga”, „Aladyn”, są starsze typy „Neptunów”. Brakuje natomiast części do tych wysłużonych aparatów, (przy pracy elektronika Zbigniewa Poldaka z Zakładu Usług Elektronicznych GS w Postominie).

Fot. JAN MAZIEJUK

ZE ŚWIATA

■ Stany Zjednoczone ponownie odrzuciły propozycję Związku Radzieckiego, aby oba mocarstwa zmniejszyły do roku 1990 o dwie trzecie liczbę swych środków jądrowych średniego zasięgu w Europie. Rzecznik Białego Domu oświadczył, że propozycja radziecka oparta jest na założeniu, iż znajdujące się w chwili obecnej potencjały nuklearne obu stron to jest ZSRR oraz mocarstw atomowych NATO. Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii i Francji są w przybliżeniu jednakowe, które to założenie jest nie do przyjęcia przez USA.

■ Po noworocznej przerwie w Madrycie wznowili obrady przedstawiciele państw — uczestników KBWE. Obecna faza konsultacji poprzedziła liczne wielomiesięczne, trudne dyskusje. W wielu sprawach udało się zbliżyć stanowiska, a co najważniejsze zarysowała się wyraźnie możliwość porozumienia w kluczowej sprawie — zwołania konferencji na temat „budowy środków zaufania”. Największe zagrożenie dla pomyślnego przebiegu dalszych prac spotkania madryckiego stanowi próba krajów zachodnich narzucenia uczestnikom obrad dyskusji na temat sytuacji w Polsce.

■ Sekretarz generalny ONZ Javier Perez de Cuellar oświadczył w wywiadzie dla wiedeń-

skiego dziennikarza „Die Presse”, że ogłoszenie stanu wojennego w Polsce nie stanowi naruszenia Aktu Końcowego KBWE w Helsinkach. Stwierdził on ponadto, że wprowadzenie przekazał swe zaniepokojenie sytuacją w dziedzinie praw człowieka, „ale nie wie, czy w ogóle zostały one naruszone, ponieważ nie był w Polsce”.

■ Premier Szwecji podczas debaty parlamentarnej oświadczył, że jego kraj wypowiada się przeciwko sankcjom ekonomicznym narzuconym przez administrację USA wobec Polski i ZSRR. „Sankcje takie ze strony Szwecji nie wchodzi w rachubę — powiedział. — Szwecja może przyłączyć się jedynie do sankcji uchwalonych lub zaleconych przez Radę Bezpieczeństwa”.

■ Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych znaczną większością głosów uchwaliło rezolucję wzywającą wszystkie kraje członkowskie ONZ do zastosowania sankcji wobec Izraela za bezprawne zaanektowanie należących do Syrii Wzgórz Golan. Sankcje obejmują: wstrzymanie wszelkich dostaw broni do Izraela, zawieszenie pomocy gospodarczej, finansowej i technicznej, a także zerwanie stosunków dyplomatycznych, handlowych i kulturalnych z Izraelem.

■ Papież Jan Paweł II ofiarował dla szpitala Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie cenną aparaturę do badań diagnostycznych.

■ Projekt budżetu USA na rok finansowy 1983 przewiduje daleko idące redukcje wydatków na cele społeczne i znaczny wzrost wydatków na cele wojenne. W myśl tego projektu wydatki wojskowe Stanów Zjednoczonych sięgną 263 mld dolarów — 20 proc. więcej niż w roku bieżącym. Prezydent Reagan zawiadomił Kongres o swym zamiarze wznowienia produkcji broni chemicznej, wstrzymanej w USA przed 13 laty, podkreślając, że produkcja nowych pocisków gazowych „jest sprawą zasadniczą dla interesów narodowych USA”.

■ Większością 269 głosów koalicyjnej socjalliberalnej przeciwko 226 głosom deputowanych frakcji parlamentarnej CDU/CSU, zachodniemiecki Bundestag uchwalił wotum zaufania rządowi Helmuta Schmidta. Z wnioskiem o wotum zaufania zwrócił się do Bundestagu sam kanclerz Schmidt, oświadczając, że pragnie unaocznnić w ten sposób własnemu społeczeństwu oraz opinii międzynarodowej, iż jego rząd i polityka cieszą się poparciem solidnej większości parlamentu.

Z KRAJU

■ Przewodniczący Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, prezes Rady Ministrów gen. Wojciech Jaruzelski przyjął delegację Światowej Rady Kościołów, przebywającą w Polsce na zaproszenie Polskiej Rady Ekumenicznej. Członkowie delegacji dali wyraz zainteresowaniu sytuacją w Polsce, potwierdzili też wolę kontynuowania pomocy humanitarnej ze strony Światowej Rady Kościołów jak i międzynarodowych organizacji wyznaniowych. Niezależnie od ogólnego programu pomocy Światowa Rada Kościołów przeznaczyła ostatnio 750 tys. dolarów na pomoc doraźną dla ludności dotkniętej klęską powodzi.

■ Decyzją prezesa Rady Ministrów powołano zespół składający się z przedstawicieli resortów i organizacji młodzieżowych, którego zadaniem jest opracowanie do 31 marca br. programu poprawy warunków startu życiowego i zawodowego młodzieży oraz współudział w pracach nad projektem centralnego planu społeczno-gospodarczego na lata 1982—1985.

■ W Warszawie podpisano protokół o wzajemnych dostawach towarów i płatnościach między Polską a Węgrami. Przewiduje on obroty handlowe w wysokości około 617 mln rubli, tj. o ponad 6 proc. wyższe w

porównaniu z ustaleniami protokołu na rok ubiegły. We wzajemnych obrotach przeważać będą dostawy maszyn, środków transportu, części zamiennych i podzespołów kooperacyjnych. W protokole przewidziano też zwiększone dostawy do Polski węgierskich towarów rynkowych, jak farmaceutyki, obuwie skórzanе, meble, galanteria i papiernictwo, środki higieny osobistej i kosmetyki, oraz artykuły rolnospożywcze.

■ Jak informuje Biuro Prasowe Rządu, w minionym miesiącu dokonano 110 zmian na kierowniczych stanowiskach w różnych ogniwach administracji państwowej.

Z REGIONU

■ Kontrakt na budowę 26 statków rybackich do połowu kretetek zawarta z armatorem radzieckim uesteka stocznia. Jest to najpoważniejsze zamówienie na najbliższe lata. W stoczni rozpoczęto już trasowanie elementów na budowę pierwszych trzech kadłubów. Statki dla radzieckiego odbiorcy będą największymi z dotychczas zbudowanych przez uesteckich stocznio-ców. Ich długość po pokładzie sięgnie 40 metrów. Jak dotąd największą jednostką jaka powstała w Uście jest trawler „Dagmar” zbudowany na zamówienie armatora francuskiego, przy którym trwają ostatnie prace wykończeniowe.

■ W ośrodkach wczasowych w Mielnie i Ustroniu Morskim, należących do Funduszu Wczasów Pracowniczych przebywa kilkuset małych powodziaków — mieszkańców wsi Borowiczki w woj. plockim. Dzieci mieszkać będą w domach wczasowych przez dwa miesiące, uczyć się będą w miejscowych szkołach podstawowych.

■ Produkcja energii elektrycznej staje się coraz droższa; tym więcej uwagi słupscy energetycy poświęcają od dwóch lat odbudowie małych elektrowni rzecznych, które mogą dostarczać najtańszy prąd. W 1980 roku odbudowano dwie zniszczone, nieczynne elektrownie wodne — na Wieprzy przy kępiekiewie garbarni oraz w Potęgowie na rzece Łu-

pawie. W roku ubiegłym wznowiła pracę odbudowana elektrownia wodna w Pogonicach, zaś w bieżącym prąd popłynął już z obiektu we wsi Łupawa. Łączna produkcja odbudowanych małych elektrowni rzecznych starczy na potrzeby siedmiotysięcznego miasteczka, nie licząc korzyści, jakie stopnie wodne dają polepszając stosunki wodne. W najbliższych miesiącach słupscy energetycy przystąpią do remontu kolejnych małych elektrowni, m. in. przy słupskim Młynie Zamkowym oraz przy młynach rzecznych w Kozinie i Ciecholubiu.

■ Ubiegły rok przyniósł spadek produkcji przemysłowej w woj. koszalińskim o ponad 7 proc. a więc o 1.607 mln zł w porównaniu z rokiem 1980, mimo jednoprocentowego wzrostu zatrudnienia. Natomiast osobowy fundusz płac w przemyśle wzrósł o 616 zł na jednego zatrudnionego, sięgając prawie 3 miliardów zł. Przeciętna płaca miesięczna w przemyśle wyniosła 6928 zł, wzrastając w ub. roku o 1414 zł — to jest o 26 proc., o 8 proc. spadła natomiast wartość produkcji na jednego zatrudnionego.

■ Członkowie Wojewódzkiej Komisji Socjalnej powołanej zarządzeniem wojewody słupskiego spotkali się z Sekretariatem Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Mówiono o problemach i kłopotach, jakie w swej pracy napoty-kają jej członkowie, wypełniając

obowiązki zawieszonych w okresie stanu wojennego związków zawodowych.

■ Prawie 180 mln zł wypłacił emerytom i rencistom oraz osobom pobierającym zasiłki stypendialne Wojewódzki Oddział Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, jako rekompensatę podwyżki cen, która weszła w życie 1 lutego. Zaliczki te otrzymało ponad 41 tys. osób.

■ Do kołobrzeskiej katedry po prawie 36 latach powrócił na stałe słynny siedmioramienny świecznik. Ustawiony został w prezbiterium kościoła. Obok korony, ufundowanej przez pomorską rodzinę Sliwosów stanowi najcenniejszy zabytek Olbrzymi świecznik pochodzi z XIV wieku i wykonany został przez mistrza Jana Apengetera z Lubeki. Kołobrzeskiemu kościołowi zapisał go w 1327 roku w testamencie dziekan Gedeke Gotycki kandelabr jest jed. nym tego rodzaju zabytkiem w Polsce; mimo wielu wojen i prawie całkowitego zniszczenia katedry podczas bitwy o Kołobrzeg w 1945 roku przetrwał mało zniszczony. Przechowywany był potem w słupskim Muzeum Pomorza Środkowego, zdobiąc sien zamkową.

■ W lutym wznowiły działalność w woj. słupskim kolejne placówki kulturalne: Muzeum Pomorza Środkowego wraz z filiami terenowymi, Biuro Wystaw Artystycznych, domy, ośrodki i kluby kultury.

Z bliska...

Spojrzyć prawdzie w oczy

A zatem, znów się spotykamy z naszymi Czytelnikami. Przypomnijmy:

Od wstrząsających wydarzeń Sierpnia minęło osiemnaście miesięcy, od ogłoszenia stanu wojennego — zaledwie dwa, a przecież wydaje się, że to cała epoka zaczęła się i skończyła. Oczywiście, żadna epoka nie kończy się jak ręka ucią. Zwykle tylko początki rewolucyjnych wydarzeń bywają gwałtowne — ich narastanie trwa nieraz bardzo długo i wygasają powoli. Tworzą również takie wartości, które nie przemijają już nigdy — stają się trwałym elementem życia społecznego i politycznego.

A więc i ta ostatnia rewolucja sierpniowa stworzyła wartości, które pozostaną, nie dadzą się wyprzeć. Żalować jedynie należy, że jej bieg został tak szybko zmieniony, że przywarły do niej obce, wręcz socjalistyczne elementy, które wkrótce całkowicie wypaczyły sens i kierunek przemian, zapoczątkowanych słusznym robotniczym protestem. Po wprowadzeniu stanu wojennego — jako środka kładącego tamę staczaniu się w przepaść — trudniej nam będzie zrealizować cele socjalistycznej odnowy, niż gdybyśmy te cele realizowali w warunkach partnerskiej rozmowy. Ale czy było inne wyjście?

Po IX Nadzwyczajnym Zjeździe wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Ze względu na swój autentyzm i robotniczo-chłopski charakter stał się ten zjazd nie tylko kuznią fascynującego programu (który notabene ciągle w tak małym stopniu jest znany szerokim kręgom społeczeństwa), ale był również głębokim przeżyciem uczestników i obserwatorów oraz dla milionów śledzących jego obrady w telewizji. Wszystkim nam się wtedy zdawało, że najtrudniejsze jest już za nami, że

teraz tylko wziąć się sumiennie do pracy. Stworzona została platforma porozumienia narodowego, jakiej nigdy nie było. Niestety... wtedy właśnie przeciwnik polityczny uderzył ze szczególną siłą. Potem wydarzenia miały już przebieg lawinowy. Dziś zostały po nich — gorzkie zawieszonych i niesmak tych, którzy dali się okresowo otumanić oraz — nie ludźmi się — także determinacja przegranych, którzy spalili za sobą ostatnie mosty i którym pozostała już tylko... nie-nawieść. Serdecznie im życzę, aby się z niej wyleczyli, bowiem wcześniej czy później obrócą się ona przeciwko nim samym.

Obecny stan wojenny jest okresem trudnym dla nas wszystkich. I to nie tylko ze względu na liczne uciążliwości i ograniczenia. Jeszcze bardziej ze względów psychologicznych: upokarzająca świadomość, że nie stać nas było na to, na co stać dziś już wszystkie europejskie narody — na parlamentarne metody rozwiązywania konfliktów.

Powiedzmy sobie również szczerze: nie wszyscy pamiętają, że stan wojenny nie jest ani celem samym w sobie, ani nawet lekarstwem na nasze, tak liczne dolegliwości gospodarcze i społeczne. Jest zaledwie rodzajem osłony antyseptycznej, pod którą musi się odbyć właściwa operacja uzdrawiająca. Trzeba mieć przy tym świadomość, że pacjent musi umieć normalnie żyć również po zdjęciu tejże osłony.

Tymczasem wielu ludzi pełniących różne funkcje w gospodarce i administracji zachowuje się tak, jakby stan wojenny miał się nigdy nie skończyć. Gorzej, gdyż wielu ludzi zamiast lepiej pełnić swoje powinności służebne wobec obywateli nie usiłuje przybierać poży komisarzy z nieograniczonymi uprawnieniami?

Czyż wiele dzisiejszych uciążliwości i utrudnień nie bierze się właśnie stąd, że pod pretekstem zawieszania niektórych praw obywatelskich, tu i ówdzie próbuje się wprowadzać bezprawie, podobne temu, jakiego byliśmy świadkami pod koniec lat siedemdziesiątych?

Patrzmy dziś na wojsko jak w przysłowiowy obraz. Jakże budząco działają krótkie telewizyjne obrazki z żołnierskich wizyt w różnych terenowych zakładach. Schemat jest zwykle taki sam: na tle zapylonego magazynu, zrujnowanego pegeeru, walącego się warsztatu odbywa się dialog oficera z odpowiedzialnym człowiekiem. Precyzja, logika i stanowczość wojskowych zaleceń wydaje się sama uzdrawiać nabrzmiałą ludzkim nieróbstwem i beznadziejnością, beznadziejną sytuację dychawicznego zakładu. Ale zaraz pojawia się myśl: przecież wojsko stale pilnować tego nie będzie, niebawem stamtąd wyjdzie, jaka siła wtedy zapobiegnie nawrotowi brudu, nieróbstwa i bałaganu? Przecież owi rozmówcy oficerów, ci różni prezesi, dyrektorzy i kierownicy robią wrażenie, jakby nie byli w stanie pojąć, o co jest ta cała awantura. A my mamy wierzyć, że ta jedna, czy nawet pięć podobnych rozmów przemieni ich w nowoczesnych menadżerów?

Ktoś powie: jest reforma gospodarcza. Ona zmusi nierobów i bałaganiarzy do solidnej pracy, albo ich zniszczy.

Nie zniszczy. Żadna reforma robiona pod tak ścisłym parasolem ochronnym państwa nie zniszczy największego nawet nieroba. Czy wyobrażacie sobie ten krzyk, gdyby gdzieś od tego došlo? A może tym razem stać nas będzie na chłodne spojrzenie prawdzie w oczy?

... i z daleka

Być mądrym przed szkodą

Rozpoczęła i podsycona przez prezydenta Reagana i jego ekipę antypolska heca trwa. Po wielkim show i szeregu niezbyt udanych, za to z wielkim zaangażowaniem organizowanych politycznych pikników w różnych częściach Stanów Zjednoczonych, amerykańskie ataki na nasz kraj przeniosły się na forum trwającego właśnie nadryckiego spotkania w sprawie bezpieczeństwa w Europie. Antypolskie działania gospodarcze i propagandowe powodują, że znów nasz kraj, podobnie jak w okresie niekończącej się kampanii strąfkowej, jest tematem wypełniającym łamy i audycje światowych środków masowego przekazu. Sytuację tę najlepiej ilustruje zamieszczony niedawno w zachodniemieckiej gazecie „Frankfurter Allgemeine Zeitung” rysunek satyryczny: ogłuszonej wiadomością o radia, telewizji i gazet obywatelce RFN jawi się mapa świata, na której wyrzuszają się i zaczynają pęcznić do monstrualnych rozmiarów jeden jedyny kraj — Polska.

To nie może nas nie boleć. Podobnie dotkliwie odczuwamy zastosowane wobec nas przez Zachód sankcje, zwłaszcza gospodarcze w postaci blokady dostaw surowców i materiałów.

Ktoś stojący z boku może powiedzieć: no cóż, mądry Polak po szkodzi, nie należało się do tego stopnia uzależniać od zagranicznych dostaw.

Przypominam sobie na tę okoliczność pewien epizod z praktyki dziennikarskiej. Było to w czasie obrad poprzedniego, ósmego Zjazdu partii. Nas, dziennikarzy prasy krajowej, obowiązywał — nazwijmy to — zwyczaj

konsultowania wszystkich korespondencji wysyłanych ze Zjazdu do swoich gazet z wyznaczonym odpowiedzialnym pracownikiem KC.

Był wieczór kolejnego dnia Zjazdu, nadawaliśmy opracowania i komentarze z dyskusji plenarnej. Każdy czekał z pewnym napięciem na wystąpienie „swojego” delegata, reprezentującego jego region. Konsultacja przebiegała niezwykle sprawnie, prawie bez uwag. Ale oto, kiedy dziennikarz z Opola położył na biurku konsultanta materiał zawierający niemal in extenso wystąpienia ówczesnego I sekretarza KW z Opola, zaczęły się problemy.

Chodziło o to, że mówca ustosunkowując się w swoim wystąpieniu do sytuacji społeczno-politycznej w jego województwie, zażądał od władz PRL, aby na drodze dyplomatycznej położyły kres nasilającej się infiltracji tamtego terenu przez różne zachodniemieckie organizacje ziolkowskie, oraz aby kategorycznie sprzeciwiły się wszelkiej lnej antypolskiej propagandzie nakierowanej na Opolszczyznę z Łaby nie bez wiedzy władz RFN.

Konsultant — słusznie zresztą — stwierdził, że taka publikacja musi wywołać reperkusje międzynarodowe, a zatem musi wcześniej uzyskać zgodę najwyższych czynników. W przerwie obrad Zjazdu zabrał tekst i poszedł konsultować go „wyżej”. Po powrocie zaczął zniecierpliwionemu dziennikarzowi spokojnie tłumaczyć, które fragmenty jego publikacji trzeba będzie, krótko mówiąc, złagodzić. Dziennikarz jednakże nie ustę-

pował. — Jakże to tak — mówił zdenerwowany — to oni nam mogą świadczyć w naszym własnym kraju, a my nie możemy tego nawet nazwać po imieniu? Proszę mnie przekonać, dlaczego? Na to odezwał się ode drzwi sam najwyższy „konsultant”, który podczas tego zamieszania wszedł do pokoju i niepostrzeżony przysłuchiwał się przez moment dyskusji.

— Zaraz ci wytłumaczę, przyjacielu — powiedział. Czy jeżeli jesteś winien sąsiadowi z przeciwka, powiedzmy dziesięć tysięcy złotych i przychodzi termin zwrotu długu, a ty zamiast mu oddać pieniądze, chcesz go poprosić o dalszą pożyczkę, będziesz zaczynał rozmowę od zwrócenia mu uwagi, że systematycznie nie zamyka drzwi frontowych i przez to wszyscy marzną?

Oczywiście, cała ta rozmowa miała charakter czysto akademicki, los publikacji już był dawno przesądzony. Niemniej, dyskusja trwała jeszcze dość długo po wyjściu dostojnika z biura prasowego.

Niewątpliwie miał on rację co do metody. Ale nie miał jej co do zasady, za której przestrzegania odpowiadał na równi z innymi członkami ówczesnego kierownictwa państwa. A zasada ta brzmiała następująco: trudno o zachowanie suwerenności politycznej, jeżeli traci się suwerenność gospodarczą.

I to jest właśnie ta mądrość, którą powinniśmy wynieść z tej naszej ostatniej szkody.

Andrzej Wójcicki

FOTO ZBLIŻENIA



Skup zboża nadal przebiega w tempie, które budzi niepokój o zaopatrzenie rynku w mąkę i chleb w najbliższych miesiącach. Punkt skupu w Postominie przyjmuje dziennie 10–12 ton, a zaległości w sumie sięgają 900 ton. Niewielu rolników w całości dostarczyło zakontraktowane zboże. Na zdjęciu: Henryk Kostrzewa z Krzemienicy przywoził ponad tonę owsa, a wcześniej — jesienią — dostarczył ponad 4 tony, wykonując w całości swe zobowiązania.



W Słupsku uruchomiono nowy żłobek dla dzieci mieszkających na Zatorzu. W 3 grupach spędza tutaj czas około 90 dzieci. Na razie jednak dzieci i personel przeżywają trudne dni: w żłobku zimno, gdyż szwankuje ogrzewanie (wśród dzieci — wychowawczyni Janina Karwan).



Przed rolniczą wiosną wiele pracy mają zakłady remontujące maszyny. Brakuje części zamiennej ogumienia (na zdjęciu: Marian Hawala z Zakładu Usług Mechanicznych w Bruskowie, należącego do SKR Słupsk, kończy naprawę ciągnika).



Zakończył się tradycyjny plebiscyt redakcji „Głosu Pomorza” o tytuł najlepszego sportowca i trenera roku w obu województwach Środkowego Wybrzeża. W woj. słupskim tytuł najlepszego sportowca czytelnicy „Głosu” przyznali brydżystce Bolesławowi Ostrowskiemu („Czarni”). Kolejne miejsca zajęli: Kazimierz Adach (boks, „Czarni”), Anna Lichodziejewska (siatkówka, „Czarni”), Mirosława Liberek (strzelectwo, „Gryf”), Tomasz Przybora (brydż, „Czarni”). Wśród trenerów zwyciężył Tadeusz Wanat, prowadzący II ligową drużynę piłkarską „Gryfa”, przed Andrzejem Dulskim (siatkówka, „Czarni”) i Aleksym Antkiewiczem (boks, „Czarni”). Na zdjęciu — czterej najlepsi sportowcy woj. słupskiego.

Fot. JAN MAZIEJUK

uczyć w szkole i w domu, a także na ulicy.

Musi więc nastąpić społeczny podział pracy w tym zakresie: wszyscy wychowujemy, oczywiście pod warunkiem, że mamy jednakowe cele. To prawda, że istnieją obecnie bardzo silne różnice w ocenie zjawisk społecznych i politycznych, ale chyba podstawowe ideały, zwłaszcza etyczne, są co najmniej zbliżone. Sądzę, że nie tyle zła wola, co ignorancja wychowawcza niektórych rodziców powoduje, że wychowanie szkolne odbiega od domowego. Często w domu w ogóle się nie wychowuje potomstwa, tylko w czambuł potępia i krytykuje wszelkie zdrowe zasady społecznego życia. Efekt jest taki, jaki obserwujemy.

Nie znaczy to, że szkoła nie popełnia w tej dziedzinie wielu błędów. Widzimy je ostro i jedno jest pewne: chcemy odejść od wychowania sztamowego, od wdrażania do humanistycznych wartości poprzez zbiorowe manifestacje, apele, hasła i drętwe gadanie. Wymagano od nas ładnego stroju uczniów, ich uśmiechniętych buzi, stania w równych szeregach, więc myślimy to robili. Oceniano nas właśnie za zewnętrzne efekty pozorowanego wychowania, za tworzenie osobowości jednokowych i ładnych. Teraz będziemy zwracać uwagę na wychowanie indywidualizowane i permanentne.

Na kształcenie osobowości ucznia wpływ podstawowy ma fakt, czy serwowana mu jest zawsze prawda o tym, co go interesuje. W związku z tym w obecnym programie wychowawczym Ministerstwa Oświaty i Wychowania sformułowano — jako podstawowe, zapewnienie, że będzie dopływ rzetelnej informacji o wszystkim do szkoły i do ucznia. Na tej bazie stworzona zostanie możliwość zadawania przez młodzież wszelkich pytań dotyczących kwestii politycznych, społecznych oraz gospodarczych w naszym kraju i gdzieś indziej. Na pytania te, najbardziej drażliwe, nauczyciele muszą udzielać prawdziwych odpowiedzi i rzetelnie komentować zjawiska. Wszyscy nauczyciele, na każdej lekcji, na której problem wypłyne, więc nie tylko na wychowawczej.

Z zagadnieniem tym wiąże się naukowy światopogląd. Materialistycznego światopoglądu nie wdraża się tylko na odpowiednich przedmiotach nauczania, lecz zawsze, a szczególnie podczas zajęć z dyscyplin ścisłych. Fizyk nie uczy tylko fizyki, tak jak matematyk tylko matematyki, lecz racjonalnej interpretacji świata — a zasad postępowania i wszelkich norm moralnych przede wszystkim swoją osobistą postawą w każdej chwili.

Trzeba jasno powiedzieć: nasza szkoła jest szkołą socjalistyczną i świecką, to określa jej podstawowe działania wychowawcze. Byłoby jednak dobrze, gdyby w szkole uczono np. religioznawstwa. Wówczas uczeń dowiedziałby się, że są inne religie, nie mniej ważne niż chrześcijańska, a to uczy tolerancji. Biblijny

potop występuje już w mitologii Sumerów! Pluralizm światopoglądowy niech obowiązuje tylko w świecie dorosłych.

Sprzymierzencem szkoły powinny być, jeśli chodzi o wychowanie, organizacje młodzieżowe. W nich właśnie kształtować się powinny nawyki samorządności, samodzielności młodzieży i pragnienie działania na rzecz społeczeństwa. Obecnie

mentów o charakterze narodowym, nie orientują się w symbolice polskiego godła i sztandaru. Chcemy tu wyjąć przypomnienie naszych narodowych tradycji i odrobienie podstawowe zaniedbania w wychowaniu patriotycznym.

Oświata przez lata ostatnie bardzo zureźdniczała. Skutki tego trwają po dziś, gdyż nawet w tekście ślubowania na-

czlowieka, honor, poczucie sprawiedliwości i umiłowanie demokracji.

Natomiast za realizację w szkołach przepisów formalnoprawnych oraz znajomość przez wszystkich polskiej racji stanu będą obciążać dyrektorów placówek. Jednocześnie następuje zwiększenie odpowiedzialności nauczycieli za to, co robią, w świetle przepisów i obowiązujących programów. Poważne zadania stanęły również przed radami pedagogicznymi szkół, zobowiązane są one do cyklicznych, czyli minimum raz w miesiącu, analiz pracy wychowawczej i formułowania wniosków jak usunąć niedociągnięcia.

Niemniej muszę stwierdzić, że mamy trudności w udzielaniu realnej pomocy nauczycielom, gdy chodzi o uzupełnianie ich wiedzy, między innymi polityczno-ideologicznej. Brak nam dostatecznej ilości materiałów źródłowych oraz interpretujących współczesną rzeczywistość, w tym podręczników dla nauczycieli i dla uczniów. A nie wspomnę o pomocach nauczania i podstawowych problemach z bazą oświatową.

Mimo to nie ustaniemy w działaniach wychowawczych. Mocno powinni nas w tej sprawie wesprzeć rodzice uczniów, w tym — przez zacieśnienie kontaktów ze szkołą, gdyż zjawianie się ich wyłącznie podczas obowiązkowych wywiadówek jest postawą naganną. Rodzice muszą wspólnie z pracownikami oświaty zadbać głównie o zdrowie psychiczne dzieci i młodzieży, to jest nie ścieć w ich umysłach niepokój, lecz raczej uspokajać.

W samych szkołach zauważyliśmy przykre zjawisko, że grona nauczycielskie są w przeważającej mierze milczące w sytuacji — kiedy muszą być deklaratywne i manifestujące swe poparcie dla słusznej sprawy.

Jestem pewien, że chociaż długo trzeba będzie pracować, wychowamy pokolenie zwrócone ku człowiekowi.

Uważam, że ci Czytelnicy, których zainteresował problem powinni znać rolę ślubowania składanego przy mianowaniu na stanowisko nauczyciela, więc przytaczam ją, za uchwałą niedawno przez Sejm „Kartą o statucie nauczyciela”: „Ślubuję rzetelnie pełnić mą powinność nauczyciela wychowawcy i opiekuna młodzieży, dążyć do pełni rozwoju osobowości ucznia i własnej, kształcić i wychowywać młode pokolenie w duchu umiłowania Ojczyzny, poszanowania Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, zgodnie z zasadami humanizmu, sprawiedliwości społecznej i wolności sumienia”.

Notował:

ANATOL ULMAN

Kto hoduje egoistów?

Trzeba jasno powiedzieć: nasza szkoła jest szkołą socjalistyczną i świecką, to określa jej podstawowe działania wychowawcze.

jednak cechuje je niejakość poczynić i celów.

Natomiast my będziemy kładli nacisk na wychowanie patriotyczno-obronne. Obronne w sensie obrony najwyższych wartości narodowych. Jeśli chodzi o patriotyzm młodzieży, to oświata musi się mocno bić w piersi: myślimy dotąd nie nauczyli dzieci i młodzieży nawet hymnu państwowego. Dzieci i starsi nie umieją się zachować w czasie podniosłych mo-

uczyciela, sformułowaniem tak niedawno, nie użyto pojęć patriotyzm i socjalizm.

W sferze realizacji zamierzonych działań wychowawczych zacząć musimy od nauczycieli — szczególnie przedmiotów humanistycznych, to znaczy języka polskiego, historii i podobnych. Uważam, że nauczyciele bezwzględnie muszą nie tylko interpretować, ale przede wszystkim manifestować swoją postawą takie wartości moralne i patriotyczne jak: godność

FELIETON

Sennik współczesny

Chyba wszyscy jednomyślnie zgodzą się z tezą, że bardzo przydałoby się nam pewna wiedza o tym, co zdarzy się w najbliższym czasie (np. jutro) w zwykłym, powszednim trwaniu. Wiedza taka zaoszczędziłaby ludziom sporej starpaniny nerwów i umożliwiła nie tylko racjonalne gospodarowanie posiadanym czasem, ale również planowanie wydatków oraz nabytków.

Już dawno poruszony taką ideą, od kilku miesięcy poczęłam doświadczać — sprawdzanie bardzo starego sposobu przewidywania indywidualnej przyszłości, sposobu, o którym w związku z postępami nauki zapomniano albo który wyszydzono, jak sądzę, niesłusznie, implikując mu żerowanie na ciemności i zabobonach.

Wiemy jednak dobrze, iż nie wszystko, w co ludzkość wierzyła od tysiącleci lub co praktycznie stosowała, jest kompletnie złe, np. pranie bielizny w ługu po spalonym drewnie zamiast mydła (dawniej nieznanego i obecnie prawie nieznanego). Studiując obyczaje i wierzenia dawnych ludów (by stwierdzić, na ile dziś zdziwiliśmy) uświadomiłam sobie, iż poczyniły od starożytnych mieszkańców Azji Mniejszej po dzisiejszych Indian w Ameryce Północnej, wszyscy oni wielkie znaczenie przypisywali oraz przypisują snom.

Coś w tym musi być, pomyślałam i poczęłam kłajać własne sny z następującymi potem drobnymi wydarzeniami natury praktycznej. Następnie trzykrotnie rzecz całą zwerifikowałam, co wystawia mi dobre świadectwo w zakresie nowoczesnej metodologii naukowej. Tak powstał zaczątek sennika współczesnego, niewielkiego jeszcze, przecież mogącego ułatwić życie wielu obywatelom. Półtora roku temu przehandlowałabym wyniki mej mrocznej

pracy za jakiś stopień naukowy, dziś jednak wielkodusznie przekazuję Czytelnikom owoce badań (tylko te wielokrotnie potwierdzone), aby ułatwić życie.

SENNIK WSPÓŁCZESNY (na podstawie źródeł chaldejskich oraz egipskich opracowany)

AFRYKA gdy się śni — za miesiąc będzie ciepło w twoim mieszkaniu;

BAŁTYCKIE MORZE podczas sztormu ujrzyć we śnie — w sklepie elektrycznym po wymienieniu hasła: „margaryna krzepi” nabędziesz puszkę śledzi w oleju napędowym;

BAŃANA JESC — opowiadanie fantastyczno-naukowe przeczytasz;

BOBKI KOZIE zobaczyć w sennym widzie — wymienisz ze znajomymi dwa szampony na paczkę kawy;

BOBKI KRÓLICHE — wymienisz cerowane pończochy na puszkę kakao;

CIĄGNIĆ MIEC czyli traktor — kartofli zabraknie;

CZEKOLADĘ SMAKOWAC — nieodwracalnie dziecińniejesz;

DOLARA MIEC w śnie kolorowym — kupisz portret T. Kościuszki;

DOM WIDZIEC — otrzymasz z zagranicy paczkę żywnościową wypełnioną polskimi materiałami budowlanymi;

DYM GESTY z komina idący — żona twój cały przydział papierosów wymieni na ćwierć kilograma landrynek dla dzieci, a ty dostaniesz hopta;

ETER WDYCHAĆ — interesujący program w telewizji;

FANABERIE czynić we śnie — papier toaletowy bez ograniczeń w nadchodzącym tygodniu;

FRAK UBIERAĆ — rzucić welwetowe spodnie w Modzie Polskiej po osiem patyków, więc zapisz się do kolejki;

GWIAZDY LICZYĆ we śnie — ile naliczysz, takie mieć będziesz miejsce w kolejce po mydło;

GAZOWĄ MASKE nakładać — pojedziesz do uzdrowiska lub otrzymasz wczasy na Mazurach;

HYDRAULICZNA PRASA przyciśniętym być — będziesz jeździć do pracy autobusem;

JĘDZE namiętnie całować — ekspedientka w mięsny doloży ci kurzą nożkę ponad normę;

KROKODYLA PIEŚCIC — przygoda miłosna pewna;

KRÓLOWA BRYTYJSKA w koronie — w Kanadzie trzyprocentowy wzrost cen na ogórki kiszone;

LIPE KWITNĄCĄ wachać — przyszłość piękna;

MYSZY WIDZIEC na żółtym tle — w megasamie będzie przydział po dwaście deka żółtego sera;

NACZYNNIA NOCNEGO używać — dostawę miejscowego piwa pojutrze;

NOGĘ SPUCHNIĘTĄ mieć prawą — uda ci się kupić przechodzone gumaki;

NOGĘ LEWĄ z odciskami mieć — nabędziesz łapcie z tyka;

ORGANOWA MUZYKĘ słyszeć — będziesz grał, jak ci każą;

PAJĘCZYNA gdy się porwana śni — rajtury kupisz w sklepie metalowym;

PRZYJACIELA zobaczyć — portfel zgubisz z całą wypłatą;

REFORMA gdy się śni gospodarcza — okazjynie na targu nabędziesz używane ciepłe kałesony lub takąż damską bieliznę;

RODODENDRON — niepokój w Zim-babwie;

SAMOCHEDEM jechać — rower nabędziesz bez opony przedniej;

SNIEG padający gęstymi płatami we śnie ujrzyć — pędz do apteki, bo przywieźli watę i starczy jej dla dwudziestu chętnych;

SŁOMA STECHŁA, zwłaszcza na sieczkę posiekana — dostatek herbaty „popularnej” wszędzie;

SCIANE LIZAC wapnem bielącą — kupisz buteleczkę dwuprocentowej śmietany;

SŁONCE SWIECĄCE jasno na niebie — holenderskie masło zasolone w 1945 roku — zakupisz łatwo na kartki;

SZKŁO jakieś gładzić — znów za dwa-dzieścia pustych butelek otrzymasz prawo do zakupu pół litra żytniej ziemniaczanej;

SZYŃKĘ JESC — sen nieprzyzwoity;

TURKA w fezie widzieć — kożuch ci skradną;

UCHO OD SLEDZIA zobaczyć — pensji podwyżka pewno;

WRONA GDY LECI — kurezaka zjesz w tym miesiącu;

ZADOWOLONYM we śnie być — dostaniesz bilet na objazdową wystawę kurzych jajek;

ZIELE JAKIES na łące zrywać — będziesz palił tytoń przedni z liści wiśniowych;

ZABE RECHOCZĄCĄ słyszeć — znów cię w konia zrobią.

Ach, jeszcze jedno: Lotanę we śnie zobaczyć — długo obrzydzenie do świata czuć.

LOTANA

W OSTATNIEJ partyjnej kampanii sprawozdawczo-wyborczej w województwie śląskim szybko zwrócił na siebie uwagę swoim specyficznym stosunkiem do rzeczywistości: chętnie zabierał głos na różne tematy i wszystko, o czym mówił, traktował niezmiennie osobiście. Nie zawsze znajdował uznanie. Ale ten skromny rybak z Leby — bywało — paraliżował salę uczuciem, jakie wkładał w to, co mówił. Kiedy mówił: moja ojczyzna, moje morze, moi koledzy rybacy... nikt nie mógł mieć wątpliwości, że PIOTR STRZEGOWSKI mówi o sprawach sobie najbliższych, tak jak o swoim domu i rodzinie, która ma także swoje miejsce w jego społecznych i politycznych przekonaniach. Został członkiem KW PZPR. Reprezentuje w instancji środowisko rybaków. Tematem wszystkich dotychczasowych jego wystąpień publicznych (z którymi można się zgadzać lub nie) jest morze i zawód rybaka. Traktowany właśnie tak bardzo osobiście i emocjonalnie. Dlaczego? Posłuchajmy, co sam mówi na ten temat:

Nie chciałem być rybakami. Moim marzeniem było zostać leśnikiem. Śpiew ptaków, szum drzew — to lubiłem. Las zawsze mnie ciągnął...

W 1945 roku poszedłem na ochotnika do wojska. Znalazłem się na Wybrzeżu — w Dziwnowie. Po zdemobilizowaniu, we wrześniu 1946 roku, wbrew woli matki, która błagała, żebym wrócił w rodzinne strony do Ciechanowa, osiedliłem się w Dziwnowie.

Czułem się patriotą, uważałem, że trzeba zasiedlić Ziemię Odzyskaną...

Co mogłem robić? Dziwnów to była mała osada rybacka. Jedyny znany tam zawód to rybołówstwo. Wstąpiłem do tworzącej się spółdzielni „Belona”. Rybaczyć trochę już umiałem, bo będąc w wojsku często pływałem z rybakami.

Czternastego lutego 1947 roku nie byliśmy daleko od brzegu. Gdy przyszło jednak wiosłować pod falą, nie dawaliśmy rady. Żywiół pchał w głąb morza, zamiast w stronę lądu. Łódź drewniana, siedem i pół metra długości, na wiosła, bo nie było pieniędzy na silnik. Przez osiemnaście godzin niosło nas po Bałtyku, aż osiedliśmy na mieliźnie. Jedenaście kilometrów musiałem zziębnięty i przemoczony wracać do domu.

W pięćdziesiątym trzecim powołano mnie na prezesa spółdzielni „Belona”. Nie podobala mi się ta praca. Nie miałem szkoły, a po drugie — nie mogłem żyć bez morza. Prosiłem, żeby dali mnie z powrotem na kuter. Nie chcieli, to napisałem wypowiedzenie.

W drodze do Gdyni, na dworcu w Lęborku, rozpoznałem kolegę — mojego wodzówkę ze strażnicy. — „Gdzie Piotrusz jedziesz?” — zapytał, gdy mnie zobaczył. — „Do Gdyni, za pracą” — odpowiedziałem. — „Wysiadaj i jedź ze mną do Leby” — zaproponował zaraz. Prawie tydzień pędziłem z nim kawalerskie życie. Tak mnie urabiał, że w końcu zgodziłem się zostać w „Dziesięcioleciu”, którego był prezesem. W spółdzielni tej pracowałem do 1962 roku.

W 1958 roku odprowadziłem kuter do remontu, do Gdańska. W stocznii stał dzie-

MOJE MORZE



Kiedy mówił: moja ojczyzna, moje morze, moi koledzy rybacy... nikt nie mógł mieć wątpliwości, że Piotr Strzegowski mówi o sprawach sobie najbliższych.

wieć miesięcy. Pojechałem po niego dwudziestego marca. W morze, za rybą wypłynąłem dwudziestego trzeciego.

Jak zerwał się sztorm, byliśmy może z godzinę i czterdzieści minut od brzegu. Kuter stanął dęba. Sruba przestała ciągnąć, dostała powietrza. Wezwałem pomocy. Podpłynął „Leb-16” i rzucił hol.

Do portu jednak nie dopłynęliśmy. Woda przedostała się do środka i zalala całą ładownię, później resztę pomieszczeń. Liczyłem jeszcze na pomoc ratowników. Zamiast ich statku, przypłynęła po trzech godzinach mała łódź. Kuter utonął.

Po tej katastrofie dostałem inny — „Leb-31”, którym szczęśliwie pływałem do 1962 roku. Był to drugi „blaszak”, jaki otrzymała spółdzielnia w Lebie. Pierwszy nie dopłynął do Leby, osiadł na mieliźnie koło Ustki. Zginęło na nim wówczas pięciu rybaków i spółdzielnia postanowiła kuter ten odsprzedać „Szkunerowi” we Władysławowie.

W 1962 roku zachciało mi się „prywatki”. Odszedłem ze spółdzielni. Zona była przeciwna tej decyzji, ale nie było siły.

Coś mnie „rąbnęło”, żeby zacząć rybaczyć na własną rękę.

W Gdyni kupiłem kuter — drewniak, 17-metrowy, sto dwadzieścia koni mechanicznych. Był bardzo zaniedbany, i od razu zostawiłem go w „Szkunerze”, żeby odremontowali. We Władysławowie stał do ósmego grudnia 1963 roku. Pięknie mi go odszykowali. Cieszyłem się, że będę miał warsztat pracy. Na wodę wypłynąłem dziewiątego.

W kwadracie Natalii do Olgi rzuciłem kotwicę i czekaliśmy na rybę. Robiliśmy coś w maszynowni. Koledzy też byli zajęci. Odczułem tylko, jakby ktoś stuknął w kuter młotem. Gdy wybiegłem na pokład zobaczyłem, że toniemy i w oddali jakiś statek.

Później okazało się, że był duński i to on w nas uderzył.

Wskoczyłem do wody; zaczęło mną obracać. Wciągał mnie wir. Wyostałem się z niego jakoś i podpłynąłem do kolegów. Wciągnąłem ich na kapo — takie nakrycie na maszynownię — które akurat podpłynęło. Sam udałem się w stronę

statku, skąd otrzymałem pomoc. Ze dopłynąłem, to tylko los szczęścia — miałem z falą. Gdyby statek stał po przeciwnej stronie, nie miałbym siły pod falą do niego podpłynąć.

Natomiast moi koledzy życie w dużej mierze mogą zawdzięczać psu. Gdy wbiegłem do kubryka, żeby wziąć pas ratunkowy, usłyszałem skomlenie psa (Pływał z nami taki kundel). Zrobiło mi się go żal, pomogłem mu. Później znalazł się na kapo. Gdyby nie on, to byśmy w ciemnościach kolegów nie znaleźli. Pies bez przerwy wył i wskazywał drogę.

Był dzień dwudziesty pierwszy marca 1964 roku, dzień jasny, morze spokojne. Gdy wracaliśmy — śnieżyca, mgła, wiatr, okropne fale. Nie dawaliśmy rady wejść do portu w Lebie. Po kilku bezskutecznych próbach kurs na Władysławowo. Pod Karwią stanął silnik. Woda pchała na plażę. Natrafiliśmy na mieliżnę i siedzieliśmy na niej ponad osiem godzin. Dawaliśmy sygnały, ale daremnie. Dopiero jak wyszedłem na ląd, wszczęło pomoc.

Po tym wypadku zaczęła się walka z żoną i dziećmi. — Chcieli żebym wrócił do spółdzielni. Nie poszedłem. Dlaczego? Mam swoją ambicję, swoje „ja”. Uparłem się na morze. Muszę być ujarzmiony, pokazać, że to jednak człowiek jest największą potęgą.

„Leb-57” spisałem na straty i wbrew woli rodziny kupiłem kolejny kuter. Też szaleństwo, zaledwie jedenaście metrów i czterdzieści centymetrów długości. Pływałem już razem z synem i nawet dobrze szło nam to rybaczanie.

Piętnastego marca 1979 roku popłynęliśmy na Rynną Słupską. Łowiliśmy cały dzień. Wieczorem zerwał się wiatr i zaczęło nas niosić. Gdzieś koło dwudziestej silnik dostał większych obrotów i nagle potem stanął. Huragani szalał coraz bardziej. Na ponad trzydzieści lat rybaczania nie widziałem, żeby tak raptownie mógł zrobić się sztorm.

Rzuciłem jedną kotwicę. Urwało. Rzuciłem drugą. Też urwało. Wzywałem pomocy, ale urwało antenę. Z żywiołem walczyliśmy przez trzy dni. W czwartą dobę weszliśmy już w stanie beznadziejnym. Bez przerwy trzeba było wylewać wodę. Nie było fali, która by przez kuter nie przeszła.

Syn już nie mógł, nie miał siły. Prosił, że chce odpocząć. Położył głowę na sieniaku i zasnął. Niemalże zaraz zajęła go woda. Doskoczyłem do niego i podniosłem. Wodę wylewał dalej, widziałem, że jego ręce z trudem unoszą wiadra.

Sadziłem, że z nami już koniec i poszedłem po sznurek, żeby się związać z synem i tak skończyć...

Gdyby każdy z nas utonął osobno, to morze nigdy by nas razem nie wyrzuciło. Chciałem żebyśmy razem, jeżeli już musimy...

Przed tym wszedłem na pokład i zacząłem się modlić. Skamlałem, że chcę żyć. I cud. Inaczej tego nie umiem nazwać. Nie wiadomo skąd przyszła krzyżowa fala. Byliśmy uratowani. Niedługo wiatr ustał i morze zrobiło się spokojne. Udało się nam zapalić silnik.

Po tym wypadku przyrzekłem już żonie, że wrócę do spółdzielni. Ale i tym razem skłamałem. Zięć jest rybakim jeden syn rybakim, drugi też. Jak mogłem ich zostawić? Kupiłem nowego „blaszaka” i nadal łowimy.

Jestem szczęśliwy, jak wypływam w morze. Ze mną tak samo, jak ze zwierzęciem, które urodziło się w lesie. Nawet gdyby las ten wyrabiał to ono i tak będzie przychodzić na swoją polanę. Żeby chociaż popatrzeć i powąchać to miejsce. Ja wracam na morze.

ZBIGNIEW BABIARZ-ZYCH
Fot. Jan Maziejuk

Gdy
chłop
ma
pecha

ZBIGNIEW JANISZEWSKI

JÓZEF KADUBIEC nie zdziwił się za bardzo, gdy szalejąca wichura, ominąwszy inne gospodarstwa, przyszła właśnie do niego. Huragan zerwał dach z obory i stodoły, by następnie grzmotnąć nim w budynek mieszkalny. Potem kilka ton belek, desek, lat i papy bezkształtną już masą legło beładnie na drodze.

Niektórzy mówią, że Kadubiec ma pecha. Minione lata strawił na mocowaniu się z losem i tylko dzięki uporowi i pracowitości doprowadził gospodarstwo do stanu godnego pozazdroszczenia. Wszystko w jego zarządzie logicznie powiązane, nowoczesne.

W mieszkaniu czystutko, wysoki polysk, dwudziesty wiek... Widać, że właściciel dawno przeobraził się z tradycyjnego oracza w socjalistycznego farmera...

Cóż więc z tym pechem?

Huragan przyszedł w nocy z drugiego na trzeci listopada. Ludzie zostali pod przeciekającymi stropami, nad zwierzętami odkryło się zachmurzone niebo.

Dwa tygodnie później, gdy po raz pierwszy — zajechałem do wioski Gęś,

na domu Kadubca bieliła się już czapa z nowitkich płyt eternitowych. Majstrowie kończyli robotę na stromiznie i mieli zamiar pożegnać się... A obora, stodoła? Co zrobić ze zwierzętami? Eternit na chatę załatwił naczelnik gminy. Zresztą nie było tu za wiele roboty, gdyż więźba pozostała nienaruszona. Skąd wziąć materiał na pokrycie budynków gospodarczych. Potrzebne są belki na krokwie, drewno nałaty, znów eternit. Wichura naruszyła mury. Skąd wziąć cegły, cement, wapno? Aż głowa boli — jakież to trudno osiągalne dzisiaj spe-cjały!

Zima była tuż, tuż. Lada moment może spaść śnieg. Zaczyna się mrozy utrudniające remont zabudowań. Ruszył więc gospodarz gdzie się da prosić o ratunek. Naczelnik w gminie to dobry człowiek, jednak mniej może niż wojewoda. Zwłaszcza, że do braku materiałów dołączył kłopot ze znalezieniem wykonawcy remontu.

Wicewojewoda wysłał Kadubca do właściwego dyrektora, ten z kolei do kompetentnego referenta, który z kolei dwój- się i troił usiłując przez telefon znaleźć to, czego rolnikowi było potrzeba. Bezskutecznie. Tak oto przyroda burząc chłopu budynki zwyciężyła administrację... Może nieco przesadziłem — doprowadziła ją do chwilowej kapitulacji. Różne bowiem

kłęski nawiedzają nas ostatnio, huragany, zaś znajdują się poza spisem.

Naczelnik gminy w wicku zostawił urzędniczy honor w gabinecie i sam taził po dachu Wiejskiego Ośrodka Kultury, w którym chwilowe przytulenie znalazła szkoła. Pomagał nawet w nakładaniu nowych warstw papy w miejsce zerwanej przez wichurę. Potargato ją, mimo że przymocowana była gęsto listwami. Może przy poprzedniej robocie „pańskie oko” nie tuczyło?

Żeby to tylko jeden dach w gminie... Kadubcowi trzeba 160 płyt eternitu, Stanisławowi Oparze — 140. Władysławowi Budzeniowi aż 200... Innym po sto, po kilkadziesiąt. Łącznie, aby załatać poburzone dachy, trzeba gminie Wicko 1200 płyt eternitu i około 600 rolek papy!

Wszystko trzeba załatwiać na zasadzie uszczelki. Jakoś dziwnie się składa, że nasze wojewódzkie magazyny są puste, za to w Gdańsku, po znajomości można było dostać wszystko... Stamtąd przewieziono też pierwszą porcję eternitu dla Kadubca.

c.d. na str. 11

Tylko we wrażliwej dłoni...

... ruszy się magiczna pałeczka — pisał w trzecim tomie „Wilhelma Meistersa” J. W. Goethe, wielki niemiecki poeta, uczony i humanista. Ale to już wiek XIX. Liczne znaleziska wskazują, że różdżkarstwo znane było od zarania dziejów ludzkości. Na egipskich płaskorzeźbach, datowanych na co najmniej 5 tysięcy lat przed naszą erą, przedstawione są postaci w dziwnych nakryciach głowy, niosące w wyprostowanych rękach rozwidlone kije. Właściwie na całej Ziemi, w miejscach, gdzie żył człowiek, znajdują się liczne ślady uprawiania tej... no właśnie — sztuki czy magii? Dziś wielu twierdzi, że nauki.

Świat różdżki przybliżył nam państwo Radacy ze Słupska. Pan Andrzej, inżynier mechanik, przez długi czas nie mógł do końca uwierzyć w dość osobliwe uzdolnienia swojej żony. Przeglądał się „eksperymentom” z życzliwym pobłażaniem. Kiedy jednak zapoznał się z literaturą tematu, a także gdy efekty „pracy” żony stały się oczywiste, został wielkim entuzjastą różdżkarstwa.

Pani Leonarda, z wykształcenia inżynier architekt, różdżkarstwem zainteresowała się w latach studenckich. Początkowo, podobnie jak większość ludzi, rzecz traktowała z przymrużeniem oka. Później, gdy zetknęła się z ks. Górą z Izby Kujawskiej, lekarzem, w dłoni którego wahadełko wskazywało chore miejsca człowieka, uległa fascynacji.

— To człowiek niezwykły. Opowiadał, że sztuki tej nauczył się od prostych ludzi. Posiadał ogromną wiedzę medyczną i wielkie doświadczenie. Jego umiejętności pozwalały bezbłędnie postawić diag-



Różdżka, czy wahadełko, to tylko czuła wskazówka przyrządu pomiarowego, którym jest... człowiek.

nozę. Miejsca dotknięte chorobą wysyłają odmienne promieniowanie niż ciało zdrowe. Wtedy wahadełko drży w czulej dłoni. Prawdziwą jednak sztuką jest dopiero interpretacja tych drgań. Taką doskonałość osiągają tylko wybrańcy...

Mieszkanie państwa Radackich jest małe — dwa pokoiki, kuchnia, łazienka. Na dziewiątym piętrze. Pani Leonarda chwilę koncentruje się, w dłoni ujmując różdżkę, łokcie przyciska do tułowia i przemierza szerokość pokoju. Około 3 metrów. Kiedy zbliża się do okna, różdżka pochyła się ku dołowi. Powtarza — i znowu.

— Jaka siła przyciąga magiczny przedmiot?

— Różdżka nie jest magicznym przedmiotem. Dawniej, a nawet i dziś jeszcze, w ludowym różdżkarstwie używano zwykłego rozwidlonego patyka, np. wierzbowego. Służyć on może dopóki nie wyschnie. Teraz głównymi atrybutami pracy radiestety są: różdżka — dwa stalowe pręty, zwieńczone na końcu mosiężnym szpicem; wahadełko — ciężarek na łańcuszku; rezonatory — dwa oddzielne stalowe druty wygięte pod kątem 90 stopni, zwane też różdżką hiszpańską. Różdżka, czy wahadełko, to tylko czuła wskazówka przyrządu pomiarowego, którym jest... człowiek.

Siła przyciągająca różdżkę ku dołowi są minimalne drgania mięśni człowieka trzymającego przyrząd. Drgania te powodowane są oddziaływaniem fal elektromagnetycznych, bardzo różnych w swym charakterze, na centralny układ nerwo-

wy człowieka. O pochodzeniu fal elektromagnetycznych, a ściślej pasów wzmoczonego działania elektromagnetycznego mówią tylko hipotezy. Jedną z nich to przypuszczenie, że wskutek odbijania się promieni kosmicznych od cieków wodnych powstaje promieniowanie szkodliwe dla człowieka. Dodać trzeba, że wartość natężenia promieniowania jest znacznie mniejsza od najmniejszych wartości mierzalnych istniejącą aparaturą.

— W jaki sposób te naturalne promieniowania ziemskie szkodzą człowiekowi, który jest przecież częścią przyrody?

— Wraz z rozwojem cywilizacji człowiek zatracił niektóre instynkty samochowawcze. Zagubiliśmy się w przyrodzie. Zwierzęta potrafią w sposób naturalny unikać szkodliwych czynników. Ludzie cieszą się z otrzymania najmniejszego nawet mieszkania w klatce z betonu, stali i żużlu. Wkrótce może się okazać, że w tym swoim mieszkanku źle spijają, są rozdrażnieni, zmęczeni, wreszcie chorzy... Bardzo często przyczyną tego stanu może być lokalizacja naszego M-iles na cieku wodnym, lub, co gorsza, na skrzyżowaniu dwóch, trzech cieków. Badanie mieszkania przez radiestety wskazuje kierunek i miejsce przepływu cieku. Często wystarczy prosty zabieg — przesunięcie łóżka, czy miejsca pracy z pola oddziaływania cieku, by dobrze odpoczywać, wydajnie pracować, odzyskać wigor. W małym mieszkanku nie zawsze jest to możliwe. Wtedy należy stosować odpromienniki, które skierują szkodliwe promieniowanie w innym kierunku. Tych

promieni nie można całkowicie zlikwidować, zniszczyć, zneutralizować. Człowiek może je nieco inaczej ukierunkować.

— Każdy człowiek miewa stany niedyspozycji...

— Oczywiście, to często wynik codziennego życia. Stresy — choroba cywilizacji. Zatem teorię o fatalnym wpływie cieków na samopoczucie i zdrowie ludzkie poprzę przykładami z własnej praktyki. (Tu pani Leonarda rozkłada liczne odręcznie składe badanych mieszkań, gdzie zaznaczone są ciekami wodne).

W pewnym mieszkaniu w Łęborku stwierdziłam istnienie 3 krzyżujących się cieków. Właściciel mieszkania po trzech zawałach, żona choruje na raka. Meble ustawione były w miejscach przepływu cieków. Natychmiast po ekspertyzie meble przestawiono. Ci państwo twierdzą, iż dopiero teraz mogą się normalnie wyśpać.

Inny przykład. Rodzice i dwie córki. Wszyscy chorzy. 20-letnia córka choruje na białaczkę. Okazało się, że całe życie sypiała na skrzyżowaniu cieków.

Mieszkaniec Słupska, którego żona zmarła na raka wykorzystał wszelkie możliwości medyczne by odzyskać dobre samopoczucie i zdrowy sen — bez skutku. Badanie domu wykazało, usytuowanie mieszkania na ciekach. Pan ów zainteresował się różdżkarstwem i nieźle sobie radzi. Przykłady mogłabym mnożyć.

Nie każdy, oczywiście, w jednakowej mierze jest podatny na promieniowanie. Praktyka różdżkarska wskazuje, że młodzi ludzie są bardziej odporni. Również mężczyźni nie poddają się tak łatwo jak kobiety. Cóż, błąd natury. Uważam, że każdy człowiek posiada wewnętrzny odpromiennik — mniej lub bardziej czuły. I reakcje zależą od tegoż odpromiennika.

— Być różdżkarzem — to fascynujące, ale czy proste?

— W radiestezji najważniejsza jest umiejętność koncentracji, odpowiedniego nastawienia mentalnego, by w chaosie otaczających nas biopłądów wybrać właściwy.

Jak już mówiłam, ludzie w różnym stopniu są wrażliwi, zatem różne posiadają predyspozycje różdżkarskie. Mówi się, że co czwarty człowiek może posiadać tę sztukę. Wymaga to długich ćwiczeń z przyrządem i konfrontowania wyników badań. A zatem zdolności i praca. Spróbować może każdy.

— Wspomnieliśmy, że różdżkarstwo niektórzy mianują nauką...

— Ja osiągnęłam dopiero pierwszy stopień wtajemniczenia — trącinie umiejscawiam ciekami wodne. Ale radiestezja to rozległe pole działania. To poszukiwanie złóż, wykrywanie uszkodzeń urządzeń podziemnych, ekspertyzy architektoniczne, pomoc w medycynie itd. Więc konieczne jest prowadzenie prac naukowo-badawczych, w szerokim zakresie, by chronić człowieka w jego środowisku. Muszę dodać, że na Zachodzie i w Związku Radzieckim umiejętności i wiedza radiestety są wykorzystywane w wielu dziedzinach życia. U nas zaś ciągle upatruje się w tym jakichś sił nieczystych, magii.

— Podobno wyjeżdżacie państwo ze Słupska?

— Tak, wkrótce. Pozostaje tu jednak grupa ludzi, autentycznych entuzjastów różdżkarstwa. Przy Klubie „Emka” powstała sekcja, której członkowie zainteresowali się radiestezją. Cieszę się, że udało mi się rozbudzić ich zainteresowanie. Nasze spotkania nigdy nie kończą się w zaplanowanym czasie, tak wiele mamy sobie do powiedzenia. Dzielimy się doświadczeniami, wymieniamy literaturę. Wielką satysfakcją będzie dla mnie powstanie w Słupsku stowarzyszenia oraz to, że ludzie będą umieli pomóc sobie i innym.

— Choć pani mówi o różdżkarstwie tak po prostu, zwyczajnie — dla mnie będzie to zawsze coś dziwnego, tajemnego i niewyjaśnionego...

ELŻBIETA POTURAJ

W STANIE wojennym, gdy zawieszona jest działalność stowarzyszeń społeczno-kulturalnych, warto zastanowić się nad tym, co pozostawiono za sobą, nad szansą odbudowy i rewaloryzacji społecznego ruchu w kulturze. Przymusowa przerwa nie może być pauzą od myślenia i koniecznych rewizji.

W tym celu przeprowadziłem rozmowę z członkami Słupskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego.

Najogólniejsza diagnoza głosi: zmniejsza się dostęp do kultury. Książka pomalu staje się dobrem nieosiągalnym. Najlepsze dzieła filmowe nie trafiają na nasze ekrany. Wszystko zastępuje telewizyjna papka. Szkody te, obecnie trudno

wymierne, ujawnia się z większą ostrością za kilka lat.

Bijemy na alarm, to prawda. Ale powinniśmy uświadomić sobie sprawę prostą: losy kultury leżą także w naszych rękach, w zrewaloryzowaniu zapomnianego hasła „pracy u podstaw w kulturze”. Pracy bez pieniędzy, bez honorów i zaszczytów, posadek i odznak. Pracy społecznej.

Społecznik: sytuacja wyjściowa

Działaczowi społecznemu w kulturze nie jest obecnie lekko. Dewaluacja jego autorytetu stała się w ostatnich latach faktem. Niestety, najczęściej musi cierpieć nie za swoje grzechy. Obniżenie rangi działacza społecznego wynikało przede wszystkim z ograniczenia samodzielnosci i niezależności ruchu regionalnego, co podlegało dość negatywnej społecznej ocenie.

Inna komplikacja był brak młodych następców. Na czele ruchu stała nierzadko zaawansowana wiekiem działaczka. Czyż mogli się jednak oni gnać do ubezwłasnowolnionego ruchu społeczno-kulturalnego, gdyby widzieli w nim

tylko instytucję i urzędników, posługujących się nakazami i przepisami? Stąd częsta odmowa i pozorna obojętność. Jak przyczyną kiedys osoba prowadząca dyskusyjny klub filmowy zrzecznowała z tej funkcji w momencie, gdy kazano jej ościs sprawozdania. Hierarchia była więc odwrócona: ważniejsze były sprawozdania z działalności niż sama działalność. Trudno się nawet dziwić, ba, składać na przykład blizny — jakże często służyły do ustawiania się w kolejce po odznakę „Zasłużony działacz kultury”.

Ku odbudowie autorytetu

Szanse, pomimo wielu destrukcyjnych czynników, na odrodzenie się ruchu społecznego w kulturze są wciąż ogromne. Zadaniem podstawowym jak podkreślała w STSK, jest odbudowa zaufania w środowisku, w którym się działa. To z kolei jest możliwe tylko dzięki autorytetowi moralnemu i intelektualnemu działacza. Bez tego warunku na nieczym spełzną wszelkie alarmistyczne apele. Każda

inicjatywa podejmowana przez towarzystwo okaże się niewypałem, gdy środowisko nie będzie pełne szacunku wobec indywidualnych cech i form aktywności jednostek propagujących określone idee i akcje.

Kilka przykładów

Jerzy Bytnerowicz przyznaje: „Głównym celem ruchu jest przede wszystkim służba społeczeństwu”. Nie chodzi tylko o upowszechnianie kultury zgodnie z autentycznym zapotrzebowaniem, czy trafienie w aktualne gusty. Trzeba by bowiem kształtować stawiając ambitne cele. Przykładem tak rozumianej służby jest chociażby organizacja Festiwalu Pianistyki Polskiej.

Przykazaniem drugim mogłaby być zasada zaspokajania przez towarzystwo potrzeb, zainteresowań i aspiracji samych

W poszukiwaniu utraconej motywacji

Gdyby ulec „przekonującym dowodom” opowiadania zatytułowanego „Opis obłoków w dniu 20 listopada 1970 roku” — to obłok sunący po niebieskim niebie, a stanowiący obecny kształt pisarstwa Anatola Ulmana, znalazłby się w takim miejscu, że mógłby istnieć tylko w nieustannej intelektualnej grze z czytelnikiem, w aluzjach literackich i kulturowych. A gra ta, wywiedziona z doświadczeń całego „niebosklonu”, pełnego tajemnic i zagadek poznawczych, stała się grą tego, co realistyczne, z tym — co nazwijmy — umownie — fantastyczne, zagadkowe, wyzywające się rozumowi.

Dwa te pierwiastki stanowią o kompozycyjnym kształcie każdego z 16 nowych opowiadań, drugiej już, książki Ulmana zatytułowanej „Obsesyjne opowiadania bez motywacji”. Prowadzą także do utraty w czytającym pewności co do tego, w którym momencie realistycznie opowiadana historia jest fikcją, fantazją, a w którym wiersze opowiedzianym faktem, zdarzeniem.

Oto przykład. Impulsem pierwszego opowiadania była gazetowa notatka donosząca, iż Barbara C. napadnięta przez mężczyznę, gwoździem znalazłonym na ziemi ugodziła śmiertelnie napastnika w kregosłup. Historia ta została skrojona z odnalezioną w archiwum opowieścią z roku 1642, w której to mistrz gildii sukienników w Koszalinie Johann Albert został znaleziony martwy w trzcinie za miejską fosą. Jak się okazało był on znany z braku szacunku dla „czci niewieściej”, a mające tego dosyć dziewczyny zamówiły gwoździem w Gdańsku i ugodziły nim napastnika.

Narrator pozostawia czytelników z pytaniem: czy był to ten sam gwoździem, który trzymała w ręku Barbara C.?

Zasada paralizmu zdarzeń i ludzkich losów jest więc tu łatwo zauważalna. Umożliwia ją narrator, który jak archeolog szuka ciągłości i powtórzeń, próbuje wyjaśnić i tłumaczyć. Wbrew zewnętrznej intencji opowiadana historia staje się jeszcze mniej prawdopodobna. Ulman wie bowiem, że niezwykłość, irracjonalizm najlepiej wywołuje się chwytami realistycznymi, zwiększając w ten sposób autentyczność uprawianej w opowiadaniach swoistej „gry z rozsądkiem”.

W wykreowanym świecie Anatola Ulmana odnaleźć można to, co krytycy przywykli nazywać „magicznym realizmem”. Formuła ta odsyła nas na kontynent iberoamerykański. I słusznie, bo chociaż proza Ulmana nie jest repetycją z Borgesa, to przecież dąży do konwencji uznawanej przez obu pisarzy: napisać jeszcze jedno nowe opowiadanie, w którym Ulman i Borges mogliby usiąść na jednej ławce w starym, argentyńskim parku, znaleźć się przy tym samym stole w gdańskiej bibliotece, lub razem stanąć u wejścia do niepojętego labiryntu życia i kultury, tego „ogrodu o rozwijających się ścieżkach”, którymi powoli podążając nie sposób nie odrzucić się o te same motywy, obsesje, o podobną archeologię leku.

Trudno na nowy tom prozy Ulmana spojrzeć poza jego literackimi, kulturowymi powinowactwami. Jest w nich wpisana znajomość doświadczeń prozy iberoamerykańskiej, ale także powieści brukowej. Gdy czytamy „Bardzo długą kobietę” lub o dziewczynie wystrzelonej z czołgu przypominają się nam obrazy Chirico, Chagalla, „Złoty portret doni Agi

Delivra” to swoisty seans terapeutyczny, a filtr psychoanalizy inna zasada w trakcie lektury „Momentu”, w którym zwirowała księżna Lucja d'Assouvir”. Gdy jeden z bohaterów mówi: „cokolwiek by się zważyło, budował, bo tylko budowanie chroni przed zatonieniem w pustce” słyszymy jakby powtórzenie słynnej triady Heideggera: budować — mieszkać — być.

W opowiadaniach Ulmana często zupełnie wprost formułowane są sady dotyczące meandrow ludzkiego poznania, sady o wspólnym rodowodzie, którym jest niepewność i brak ostatecznych wyjaśnień: „Na wszelkich obrazach nie należy lekceważyć cienia, pozornie nieczytelnego. Wszakże trudno zaprzeczyć, czy nie właśnie w nim skupiona jest istota człowieka, możliwe też, że cieniem staje się czasem drugi człowiek”.

To prawda, że opowiadania autora „Cigi de Montbazoni” można czytać „tylko” do poduszki, że ich lektura może być dobrą zabawą, chwilami intelektualną grą, rebusem. Zaletą jest humor, ironia, różnorodność pomysłowa. Są jednak możliwe inne sposoby lektury, postępujące wbrew tytułowej zachęcie: „bez motywacji”. W obejrzeniu tego nakazu, w odnalezieniu pozornie tylko utraconej motywacji tkwi chyba ostateczny sens: spotkania z tą książką.

I obojętnie, czy dostrzeżemy tylko element zabawy, czy intelektualnej refleksji dotyczącej ludzkiego poznania, czy też literackiej gry z czytelnikiem, to źródło tej prozy pozostaje we wspólnym pytaniu o samodzielność poznawczą, o stopień jej niezależności od namietności i obsesji tego świata. A w konsekwencji w pytaniu o możliwości literatury.

ZBIGNIEW PAKULA

Dotykanie mózgiem

Są myśli, od których człowiek nie może się oderwać. Obrastają nieustannie w nowe znaczenia, tworzą obrazy nie zawsze epickie. W końcu zrywamy z rzeczywistością...

To jest obsesja. A gdyby, znając jej prawa i granice, poza którymi rozpoczyna się szaleństwo, wywoływać obsesję i czynić z niej partnerkę intelektualnej zabawy? Gdyby jeszcze bogactwo tak malowanych doznań zamknąć w ramy logicznie zwartych utworów literackich? To już wyżyny prawie niedostępne zwykłym śmiertelnikom, bo i warsztat twórcy musi sprostać biegnącej swobodnie myśli.

Człowiekiem zagłębionym w intelektualną zabawę jawi się tym razem Anatol Ulman, jako twórca tomiku — „Obsesyjne opowiadania bez motywacji”.

Podobnie jak w „Cigi de Montbazoni” czy w reżyserowanej przez Jana Kobuszewskiego sztuce „Godziny błaznów” w składnicy złomu, Ulman nie zabiega o czytelnika jakimikolwiek efekciarskimi chwytami. Myśl, wrażenie, chwilę, nawet barwy wyraża pięknym językiem, stosując swobodnie prawa, którymi rządzi się współczesna literatura światowa.

Nie zabiegając o czytelnika pisarz pozostaje w szacunku dla ewentualnych partnerów do myślowych wędrówek.

Czegóż trzeba? Może wystarczy zardzewiały gwoździem, na który mimowolnie padnie wzrok? Za chwilę bezwartościowy przedmiot staje się srebrnym narzędziem dokonanej przed wiekami zbrodni. Zresztą ona jest zaledwie pretekstem do filozofowania nad motywacją ludzkich poczynań, nad nieszlachetnością szlachetnych i głębią duszy nieszlachetnych...

A matka Katarzyna zakuta w żelaza i widząca swój los w podziemiach? Kimże jest u Ulmana? Prawie szczęśliwa sama z sobą. Każdy z nas idąc w przeogromnym tłumie może być samotny, co nie oznacza, że pochłania go myśl o sprawach własnego mało znaczącego istnienia.

Ulman w oryginalny sposób dowodzi słarych wielkich prawd. Głównym jest na przekór współczesnym praktykom. Jego zbiorowym, tym razem, bohaterem jest człowiek, który zewnętrznie nie brzydko, nagi, okrwawiony na brudnej kolejowej platformie jest wielki, piękny, budzący nieograniczone, pozornie irracjonalne pragnienia; lub urodziwy kształtem, obcy, złoty i przepiękny nowobogackiej ksenki, znajduje rozkosz w plawieniu się w produktach wyrosłych na kosmickich ekstremitetach. Wróćmy do sprawy formalnej, czyli do intelektualnych zabaw. A więc każda rzecz, którą spoglądamy, może być taka jaka pragnemy ją zobaczyć. Oczywiście istnieje tu niebezpieczeństwo narodzin irracjonalnych dywagacji, lecz Ulman znakomicie panuje nad wątkiem, będąc świadomym celu organizowania. Spójrzmy chociaż na kojarzenie wątków skrytych w plakatki śniegu czy chmurach — „Błędnym portretem naszych przyszłych snów”.

Zostawmy filozofię... Po mistrzowsku pisarz rozbił mało znaczące przedmioty, zaledwie niekiedy okrucy rzeczywistości, na tysiączne atomy skojarzeń. Nie ma tu śladu wytężonej pracy, nie odczuwamy męczącego budowy piramidy znaczeń. Wszystko jakby samo wywodzi się z poprzedniego. Napisane od niechcenia, jednym pociągnięciem pędla.

Zarzućmy autorowi trzeźwość i wręcz premedytację mistrza, ale jak inaczej można zinterpretować jego postawę w zdanu:

„Kiedyś szafowano złotem bardziej, niż obornikiem na współczesnych polach”.

Czym posługuje się autor? Tyleż prawdą co zmyśleniem, na zasadzie — jeśli o czymś myślimy, znaczy, że TO jest. Żyje choćby w nas.

W intelektualnej zabawie Ulman proponuje ponadmysłowe dotykanie świata. Trzeba go doznawać bez udziału oczu, powonienia, ust. Korzystając z wcześniejszych doświadczeń zmysłów trzeba dotykać świat samym, rozderganym wyobrażeniami, mózgiem.

Może nieco przesadziliście polecając nowe opowiadania Anatola Ulmana tylko intelektualistom. W końcu miłośnik książki znajdzie tu przyswajalne wartości. Przecież warstwa fabularna opowiadań, zwłaszcza tych posługujących się legendą, jest nad wyraz przejrzysta i atrakcyjna.

Jeden z recenzentów wcześniejszych produktów wyobraźni Ulmana zauważył istnienie skondensowanych prawd w kształcie, jak to określił, „ulmanizmów”. Również i w „Opowiadaniach obsesyjnych bez motywacji” nie brakuje ich. Oto kilka:

„Ogromne laknienie daje życiu nieoczekiwane wyrażenie sensu”; „Wszystkie poznanie odziera z uroku”; „Wszystko co pierwotne, jest silne”; „Dobrze jest mieć wadę, która zbliża”; „Sentymalizm to uczucie bezwstydnego i hańbiące normalnego człowieka”.

Oczywiście nie wszystko należy brać serio, jak to w zabawie bywa, od czasu do czasu podczas lektury opowiadań Ulmana przymrużymy znacząco oko...

JAN ZBIGNIEW

Anatol Ulman, „Opowiadania obsesyjne bez motywacji”, Iskry, Warszawa, 1981 r.



PENETRACJE PRZESTRZENNE. M. Pomorski

O KULTURZE

Jego członków. Łączy się bowiem w jego ramach ludzie przekonani do jakiegoś ideału kulturalnego, ideału, który chcą upowszechniać. Dlatego towarzystwo jest daleko od „akcji rekrutacyjnych”. 400 członków STSK i tak jest liczba bardzo duża. Nie podtrzymujemy sztucznie form aktywności, które po jakimś czasie uległy rozpadowi. Kiedy np. przed kilku laty Kolo Stażystów osłabła działalność nikt jego żywota na siłę nie przedłużał. Jak najdalej chcę być od takich form, jak zakładanie np. w każdej średniej szkole swojego młodzieżowego oddziału itp.

Działalność towarzystwa jest „wypadkową ich zainteresowań” (E. Szymańczak). Oczywiście i tu są pewne granice. W jakimś zakresie podporządkowują swoje potrzeby kulturalne środowisku. Inaczej owa służba społeczna byłaby sloganem. Jawi się więc STSK jako towarzystwo sku-

piające ludzi, nie zaś jako instytucja podporządkowująca sobie inne mniejsze towarzystwa. Owszem, w 1975 roku mieli propozycję zajęcia miejsca na czele obecnego „Pobrzeża”, zrezygnowali, nie chcąc być „czapką” nakrywającą to wszystko, co w kulturze powinno być społeczne i samodzielne.

Odwrót od administracyjnego modelu

Historia STSK dzieli się wyraźnie na dwa etapy. Pierwszy wyznacza data: rok założenia towarzystwa (1964) i rok utworzenia w Słupsku SSK „Pobrzeże”. Do roku 1975 działał jako oddział Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Wtedy, jak wspomina J. Bytniewicz, „do udziału w pracy społecznej nikogo nie trzeba było zachęcać”. Pierwsze inicjatywy spotkały się z ogromnym

poparciem mieszkańców miasta. Wymienimy tu chociażby założenie Miejskiego Funduszu Kultury, powołanie pierwszego w kraju plastyka miejskiego, walka o zachowanie kunsztownych elewacji 120 domów, pierwsze w historii miasta pocztówki, foldery i inne wydawnictwa o Słupsku, współudział w badaniach naukowych, no i oczywiście Festiwal Pianistyki Polskiej.

O roku 1975 nie lubią w STSK mówić. Wcześniej byli także oddziałem — Koszalińskiego towarzystwa. Odpowiadało im to jednak, bo STSK było autentycznym animatorem kultury, pozostawiając im absolutną swobodę działania. W 1975 r. wszystko zmieniło się na niekorzyść. Powstało SSK „Pobrzeże”, w którego ramach sfederowano wszystkie regionalne i lokalne towarzystwa (nie dopuszczając np. jednocześnie do utworzenia w Słupsku Oddziału Stowarzyszenia Kaszubsko-Pomorskiego). Nastąpiła lata urzędniczej i sprawozdań.

Momentem przełomowym stał się nadzwyczajny zjazd „Pobrzeża” pod koniec ubiegłego roku, na którym E. Szymańczak odczytał uchwałę podjętą przez STSK o wystąpieniu z „Pobrzeża”, które „nigdy nie reprezentowało naszych interesów” zażądało się tylko biurokratycznej działalności. Zaprzeczono to — ich zdaniem — społecznikowskim przyzwyczajeniom członków STSK, którzy pragneli zaangażowania do swej działalności, a nie pisanie sprawozdań.

W praktyce ta decyzja doprowadziła do pluralizmu w ruchu społecznym, do jego rozpadu na dwie części.

Ku samorządności

To, co się stało, jest postawieniem przez towarzystwo na zupełną samodzielność. S. Turczyk jest optymistą, gdy mówi o mającym nastąpić w przyszłości „renesansie działalności społecznej”. Bo przecież przetrwała grupa najbardziej zaangażowanych działaczy. Uwolniono się od administracyjnych nakazów. Sądzę, że dość trzeźwo pojmują możliwości własnego działania. Takie słowa, jak autentyzm, prawo do innowacji powinny towarzystwu przysporzyć nowych przyjaceli.

Chcą więc podtrzymać żywą od 1945 roku tradycję bezinteresownego społecznego działania. Wiedzą bowiem, że bez takiej pomocy aparat państwowy nie jest w stanie stworzyć życia kulturalnego ich miasta. Są przekonani, że wszyscy zrozumieją już, iż samorządność w kulturze nie jest przywilejem, lecz trudnym obowiązkiem powiększającym stopień odpowiedzialności za jej kształt i losy.

ZBIGNIEW PAKULA

- na ratunek lasom

Spotykamy się wczesnym rankiem na wąskiej leśnej drodze. „Star 244” do przewożenia długich tartacznych, załadowany wysoko, gotów jest do drogi. Zanim wyjedzie z Leśnictwa Redwanki w Nadleśnictwie Ustka, minie trochę czasu. Droga poznaczona dużymi wybojami, pokrytymi zaskorupiałym śniegiem. Kierowca Kazimierz Sławski od 29 lat w słupskim Ośrodku Transportu Leśnego, uważa jednak, że teraz droga jest luksusowa. Trzeba było przejechać po deszczu, gdy koła grzęzły w błotnistej mazi, a wóz zapadał się po osie.

„Star” jeździ od czterech lat bez kapitalnego remontu. Na liczniku ma już dwieście tysięcy kilometrów. Ale każdy kilometr przejechany w leśnych warunkach trzeba by liczyć podwójnie. Dziw, że sprzęt to wytrzymuje. Twardzi od niego są jednak ludzie.

— Zimą, proszę pana, muszę wstawać do pracy o piętej rano. W OTL-u trzeba być jak najwcześniej, żeby rozgrzać wóz. Potrzebna jest ciepła woda do chłodnicy i akumulator. O akumulatory dzisiaj niełatwo, większość popsuta, nowych nie ma. Z jęczą, co jest na warsztacie, bierzemy akumulator i tak po kolei uruchamiamy kilka wozów. Teraz jest lepiej, bo było i tak, że paliwo w nocy zamarało w baku.

Kierowca nosi „służbowe” spodnie, nieco za obszerne i duże buty, typowe „gumofilce”. Spodnie opadają mu z bioder, bo nie doбира się ich do sylwetki, brać trzeba, co jest.

— Pękają też, proszę pana, przy wsiadaniu do wozu — wyjaśnia kierowca — to przez „bioderkowe” szycie. Takie spodnie to nie dla nas. A kiedyś były dobre, wygodne, trwałe. Buty — też mało kto u nas nosi całe. Tutaj człowiek przejdzie kilkanaście metrów koło zrębu i sam nie wie kiedy — łapie dziurę.

Coś niedobrego, proszę pana, bo brakuje do pracy wielu innych rzeczy. A najważniejsze — to ogumienie, detki. Tego jak na lekarstwo. Opony w moim wozie już wulkanizowane. Muszą wytrzymać i takie drogi, i nie być jakie obciążenie. I tak

się jakoś udaje przejechać nawet po sto tysięcy kilometrów. A na wozie po kilkanaście metrów sześciennych świerka, co najmniej siedem i pół tony wagi. Dzisiaj wozimy drewno do „Sławodrzewu”, godzina w jedną stronę zjeżdża. Jesteśmy tutaj prawie dwa miesiące. Wozimy drewno tylko z wywrotów i wiatrolomów.

Redwanki położone są w szerokim pasie nadmorskim, którym w listopadzie przeszedł huragan. Drzewa były łamane, skręcane, miażdżone potworną siłą, która w ciągu kilku minut spowodowała straty o rozmiarach nieznanym w powojennych dziejach leśnictwa. W wojewódz-

jeszcze waliły się zawieszane drzewa. O północy cięto drzewa, aby odblokować drogi do Rowów, Łęby, Ustki. Ludzie pracowali jak szatani. W listopadzie na jednego pracownika przypadało dziennie 25 do 30 metrów, zarobki były dobre. Dzisiaj jest znacznie gorzej, ledwie w kilku udaje się zebrać taką samą masę drewna. Przemarzło wszystko, drewno wyciąga się ze śniegu jak ze skamieniałej zaprawy cementowej. Jest dziesięcioprocentowy dodatek dla pracowników leśnych za pokrywę śniegową, jest dodatek dla pilarzy za pracę mechaniczną. Ale co z tego, jeśli przy cięciu takiego przemarzniętego drzewa łańcuch pęka. Nowych nie ma w zapasie, a



kach innych zrębów i leśnych dróg. Drwale i inni robotnicy leśni, kierowcy i ich pomocnicy pracują najeźżej. Tutaj — powiadają mi w dyrekcji Ośrodka Transportu Leśnego — nóg się nie utrzyma, tu twarda robota. Tutaj — dopowie jeden z starszych pracowników bazy naprawczej — jest robota katorżna, niebezpieczna. Przy załadunku pękają grube stalowe liny, niekiedy ranią ludzi. A czy nie było w minionych latach wypadków śmiertelnych?

Mechanizacja mechanizacją, ale decyduje ciągle człowiek, jego ogromny wysiłek, w najgorszych warunkach jakie mogą być.

Dzisiaj trudniej niż kiedykolwiek. Problemem jest nie tylko obuwie, odzież, ale nawet ciepła woda do umycia się na prowizorycznej kwaterze, gdzie — teoretycznie — kierowca z pomocnikiem powinni przebrać się, umyć, odpocząć w ludzkich warunkach. Jest miejsce do umycia, ale nie ma mydła, pasty technicznej, nie ma też proszku. Trudno wymagać od ludzi, żeby „przydziałowe” mydło, potrzebne rodzinie w domu, wozili na leśne trakty, bo by go na pewno nie wystarczyło.

Nie zwiększyła się liczba absencji chorobowych, ale zwolnień lekarskich jest sporo, głównie z powodu zarzębień. W zeszłym roku było latwiej, choć w tamtym roku odnotowano też siedem lekkich wypadków i dwa ciężkie.

Dyrekcja OTL zdaje sobie sprawę, że nie daje pracownikom tego, co im się należy. Niestety, poszukiwania odzieży i obuwia przynoszą niewielkie rezultaty. Potrzebują ich niemal wszystkie dziedziny gospodarki, a leśnictwo — do którego zalicza się też OTL — nie jest traktowane lepiej niż inne działy.

Trzeba więc pracować z dziurami w butach, jak widziałem to w kilku miejscach jednego tylko dnia. Człowiek, mimo wszystko jest najsilniejszą czynnikiem leśnej gospodarki, tak jak 10, 15, 20 i 30 lat temu...

TADEUSZ MARTYCHEWICZ

Tutaj nóg się nie utrzyma, tu twarda robota. Tutaj jest robota katorżna, niebezpieczna. Przy załadunku pękają grube stalowe liny, niekiedy ranią ludzi. A czy nie było w minionych latach wypadków śmiertelnych?



twie słupskim wichura położyła w listopadzie około 680 tys. m sześć. drewna. W koszańskim — 130 tys. metrów. Ale jeszcze wcześniej, w zeszłym roku, mniszka brudnica zaatakowała w koszańskim 850 tys. m sześć, a w słupskim — 450 tys. m sześć. Na cały rejon Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Szczecinku (który zarządza lasami w obu województwach Środkowego Wybrzeża) zważyła się więc klęska, która w niewielkim tylko stopniu obrazuje liczbę 2 miliony 130 tysięcy metrów sześciennych drewna — do natychmiastowego pozyskania i uratowania. Jeśli nie uda się tego dokonać przed latem — brudnica mniszka dotrze do tych zwalonych, połamanych lasów i dokończy dzieła zniszczenia.

Spośród wszystkich nadleśnictw Środkowego Wybrzeża najczęściej dotknięta została Ustka — ponad 200 tysięcy metrów sześciennych drewna zniszczone przez mniszkę, powalonego wichurą. Starczy na kilkuletnią pracę. Trzeba odłożyć na bok plany wyrębu przygotowane wcześniej w Szczecinku, zlecenia tartaków i innych odbiorców drewna — i ratować co można.

W leśnictwie Redwanki wyciągano robotników do pracy w nocy po wichurze, kiedy

nitowanie starego zabiera ze trzy godziny czasu. Styczeń był bardzo trudnym miesiącem, pierwsza połowa lutego — nie lepsza.

W leśnictwie jest pięciu pilarzy — i tylko dwie piły mechaniczne. Gdzieś w pobliżu akurat trwają zajęcia na kursach dla nowych pilarzy. Lepiej by nam dali na zrab więcej piły — powiada jeden z „unieruchomionych” drwali. — Wdzi pan, trzeba i siekierą pracować, byle nie stać bezczynnie. A dzisiaj akurat jedna nasza piła poszła do naprawy.

Leśnicy też mają kłopoty z ubraniem, obuwem. Spoglądają z zazdrością na grupę młodych ludzi, snujących się po obrzeżach ogromnego zrębu. Tamci ubrani w ciemnoniebieskie spodnie i bluzy, w przepiślowe buty — jakoś nie kwapią się bliżej. To młodzież zwerbowana do roboty na mocy rozporządzenia o powszechnym obowiązku pracy. Na razie większych efektów ich obecności nie widać, ale może się zmienić? Tak czy owak — spora część z tej grupy to „urodzeni w niedzielę”. Dla nich obuwie i odzież znalazła się szybko, wiele szybciej niż dla tych, co w lasach pracują od wielu lat. Podobno z innej puli, ale mimo wszystko jakoś to dziwne wyszło.

Czas kończyć rozmowę przy

ognisku, bo znów podjeżdża ciągnik zrywkowy, drwale przycinają dłuższe, okrzyszują. Drewno wyciągane jest z lasu do miejsca, w którym można załadować je na samochód. I tak dzień w dzień, ponad dwa miesiące. Tylko w tym jednym leśnictwie pozyskano po wichurze ponad 3,5 tysiąca metrów sześciennych, a rezultatów w lesie właściwie nie widać. Nie ubywa zwalonych i połamanych drzew, wśród których przeważa świerk o rozległym, ale płytkim systemie korzeniowym, najbardziej poszkodowany w zapasach z wiatrem.

Taki sam rytm i reżim pracy obowiązuje dzisiaj na set-



NA TEMATY WEWNĄTRZPARTYJNE

Nad wnioskami

Komitet Wojewódzki PZPR na jednym z ostatnich posiedzeń plenarnych podjął temat oceny realizacji wniosków zgłoszonych w trakcie kampanii przedwyborowej. Temat jest podyktowany troską nowych władz partyjnych województwa o rzetelne i konsekwentne traktowanie powierzonego mandatu zaufania.

W przyjętej uchwale oraz w poprzedzającej ją dyskusji krytycznie oceniono stan realizacji wielu postulatów, negatywnie mówiono o postawie administracji terenowej wobec ludzkich bolączek.

Owa krytyka wskazuje na potrzebę wnikliwego spojrzenia na mechanizmy przyjmowania i realizacji partyjnych uchwał i wniosków.

W przyjętej uchwale KW PZPR załącznik Egzekutywy KW, aby opracowała i wdrożyła do praktyki wojewódzkiej organizacji partyjnej zasady oraz system przyjmowania i postępowania z wnioskami i postulatami. Zasady te winny być zgodne z leninowskimi, statutowymi wytycznymi o przewodniej i kierowniczej roli partii.

Chciałbym, aby tych kilka uwag było skromnym wkładem w realizację tego zadania.

Praktyka partyjnego działania wyróżnia takie formy postanowień, jak: uchwała, dyrektywa i decyzja. To rozróżnienie może mieć kapitalne znaczenie dla zapobiegania nadmierności uchwał. Należy bowiem przyjąć, że o postanowieniu w formie uchwały,

decydować powinna przede wszystkim wysoka ranga problemu oraz fakt, że opracowuje go ogólne zebranie członków organizacji lub instancji. Władze wykonawcze partii powinny zaś korzystać w wyjątkowych okolicznościach z prawa do podejmowania uchwał, koncentrując jednak uwagę na wykonaniu i kontroli wykonania uchwał władz nadzórnych. Natomiast w sprawach bieżących powinny zapadać decyzje lub dyrektywy oparte na wynikach kontroli wykonania uchwał, oraz wytyczne o charakterze interpretacyjnym.

Zasada winna być taka: każde posiedzenie organizacji czy instancji i ich organów wykonawczych winno się kończyć postanowieniem w danej sprawie, z wyraźnym zaznaczeniem, kto odpowiada za jego realizację i jakie będą formy kontroli wykonania. Trzeba przy tym pamiętać, że postanowienia partyjne dotyczą tylko członków partii i aby osiągnąć zamierzone cele partia musi zawsze określać, kto i jakie działania winien podjąć w omówionej kwestii.

Praktyka ostatnich lat pokazała, że o tej prostej zasadzie często, niestety, zapomniano, co prowadziło do partyjnego komenderowania itp. negatywnych zjawisk.

Kiedy więc pomyślimy o "modnych" ostatnio partyjnych wnioskach jako podstawie działania, musimy sobie uświadomić, że nabierają one mocy obowiązującej dopiero wówczas, kiedy organizacja lub instancja wprowadzi je do swojego postanowie-

nia (uchwały, decyzje itp.) oraz określi formy realizacji i kontroli. Jedyną bowiem formą uchwał-wniosków są te postanowienia, które kieruje się do instancji nadzórnych w czasie dyskusji przedwyborowych nad ustaleniem linii politycznej partii. Ze względu zaś na to, że uchwały tego rodzaju nie mają mocy obowiązującej, nadzórne władze partyjne mogą skierować do nich uchwały-wnioski przyjąć lub odrzucić, oczywiście po przedstawieniu wniosku-uciecznym przekonującego uzasadnienia.

Takie postawienie sprawy nakazuje organizacjom i instancjom partyjnym przeprowadzenie weryfikacji procesu decyzyjnego, w taki sposób, aby będąc w zgodzie z zasadą centralizmu demokratycznego pozwalała wypełniać partii jej przewodnią i kierowniczą rolę. Jeśli się tego nie dokona — partia nadal będzie pracować na jałowym biegu, nie zyskując autorytetu ze względu na brak efektów w rozwiązywaniu problemów zgłoszonych przez członków partii i bezpartyjnych.

Zmienić trzeba również system przekazywania i kontroli wykonywania wniosków i postulatów kierowanych do instancji nadzórnych. Nie poprzez obieg dokumentów i uchwał-wniosków, lecz poprzez polecenia dla przedstawicieli wnioskującej organizacji lub instancji, aby wprowadzili treść postulatów do uchwały instancji nadzórnej.

Tylko na tej drodze można przywrócić właściwą rangę zadaniom partyjnym oraz podwyższyć odpowiedzialność wszystkich, którzy uczestniczą w procesach decyzyjnych partii za ostateczny kształt przyjmowanych postanowień, ich realizację oraz kontrolę wykonania.

ANTONI KUSTUSZ



Dwadzieścia lat temu budowaliśmy „tysiąc szkół na Tysiąclecie”. Jedenaście lat temu zaczęła się wielka, dziś surowo oceniona i zaniechana reforma szkolnictwa, której efekty szczególnie dotknęły szkoły na wsi. Dziś, by zapewnić dzieciom możliwość nauki — a to przecież obowiązek — trzeba podejmować nawet drastyczne decyzje. Część dzieci z Wierka uczy się np. w sali biblioteki, w pomieszczeniach Gminnego Ośrodka Kultury.

Fot. Jan Maziejuk

POCZTA REDAKCJI

Bohaterowie pokoju

Po ukazaniu się w 49/81 numerze „Zbliżenia” artykułu pt. „Bohaterowie pokoju” otrzymaliśmy od p. Elżbiety Dys z Ustki list, którego fragmenty przytaczamy:

Mój mąż jest honorowym dawcą krwi od wielu lat. Oddał 20 litrów krwi. Owszem jest odznaczony, ale niestety zawsze się go pomija, o nim się nie pamięta i sadzę, że właśnie on jest „cichym bohaterem”.

Bywało już tak, że na wycieczkę zagraniczną pojechał honorowy dawca, który oddał o kilka litrów mniej niż mój mąż. Dlaczego?

Chciałabym, aby mi ktoś odpowiedział, czy to może być jakiś podstęp rasowy?

O wyjaśnienie sprawy zwróciłbym

się do sekretarza ZW PCK p. Haliny Amrogowicz.

Nie ma oczywiście mowy o żadnym podziale honorowych krwiodawców na lepszych i gorszych. Pan Mieczysław Dys został uhonorowany odznaką I st. „Zasłużony Honorowy Dawca Krwi”. Odznaka ta otrzymał również p. Henryk Miłaszewicz ze Sławna oraz Bogdan Patulski z Człuchowa.

W trakcie uroczystości wręczono wiele innych odznak i dyplomów. Niemożliwe byłoby wymienienie wszystkich zasłużonych z uwagi na ograniczoną objętość gazety.

W istocie wymieniliśmy nazwiska osób, które oddały honorową mniej krwi, aniżeli p. M. Dys; jednak osoby te odznaczono honorową odznaką „Za zasługi dla województwa śląskiego” — także za działalność społeczną w upowszechnianiu idei PCK oraz idei honorowego krwiodawstwa.

PCK apeluje do wszystkich honorowych krwiodawców o stałe utrzymanie więzi z klubami i informowanie o ilości oddanej krwi, legitymacja stanowi jedyny tego dowód.

Wszystkich honorowych krwiodawców, których nazwisk nie wymieniliśmy, przepraszamy, pozostając z głębokim szacunkiem dla ich bezinteresownej ofiarności. (ep)

O PISU TEGO, co było na sklepach półkach w końcu stycznia — oszczędzę. W Słupsku — pomijając sklepy spożywcze — w gruncie rzeczy nie było bowiem nic. Nic też nie było w pierwszy poniedziałek lutego, dzień wprowadzenia zreformowanych cen. Poza kilkoma kosztownymi choć brzydkimi damskimi ciuchami w stoisku „Telimeny” słupskiego Rolniczego Domu Towarowego, na pozostałych półkach uchowała się jedynie pojedyncza gumowa rękawiczka. W Domu Towarowym „Centrum” — jak wyżej. Poza jednym stoiskiem, do którego nie udało mi się dopchać. Od sprzedawczyni z sąsiedniego działu papierniczo-fotograficzno-jubilerskiego (w którym nie było: 1. jakiegokolwiek wyboru artykułów papierniczych, 2. żadnych materiałów fotograficznych i 3. również jubilerskich) dowiedziałem się jednak, że podniecony ogonek wyczekuje na rękawiczki zamiszowe. W sklepach konfekcyjnych i obuwniczych największego potentata handlowego — Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego — też pusto. W Składnicy Harcerskiej przy ul. Mostnika przyjęcie towaru i gestniejący pod drzwiami tłumek, co wskazywać mogłoby, że gorączka kupowania trwa.

Wymiecione ze wszystkiego półki to także skutek kilkuletniego procesu ocalszenia posiadanych złotych przed dalszym spadkiem ich siły nabywczej. W końcu stycznia nadzwyczajnym powodzeniem cieszyły się głównie muszle bidetowe, młotki i pilniki, wentylatory za tysiąc kilkadziesiąt zł, a więc to, co gdzieś niedługo się jeszcze ostało. Bo przemysł, choć stękał czekając na nowe ceny, nie dostarczał handlowi nowych towarów, choć co nieco miał, czego dowodzi zamknięty naглуcho od dawna sklep firmowy „Alki” i jej wcale niepuszte magazyny. Z drugiej zaś strony dał się zaobserwować na końcu stycznia nagły, choć nie za wielki wzrost wplat na księżeczki oszczędnościowe (co mogłoby być zjawiskiem pocieszającym o tyle, że jakaś część społeczeństwa szuka się do przetrwania trudnych czasów, gdyby nie znacząco — co wcale prawdopodobne — że zbyt wiele osób

wcześniej dowiedziało się o 20-procentowej jednorazowej rewaloryzacji wszystkich wkładów oszczędnościowych z dniem 1 lutego.

O handlu artykułami spożywczymi nie ma co mówić, bo to już nie handel, tylko dystrybucja towarów. Większość nowych cen była znana dużo wcześniej, więc to pierwszym dniom ich obowiązywania odbiły się jedynie na spadku zakupów mleka, i to aż o 4 tys. litrów, co stanowi 8 proc. dziennego zaopatrzenia Słupska, wcześniej dowiedziało się o 20-procentowej jednorazowej rewaloryzacji wszystkich wkładów oszczędnościowych z dniem 1 lutego.

PRZEGLĄD sklepów w drugim poniedziałek lutego też nie wykazał zbyt optymistycznych zmian w zaopatrzeniu. W Domu Towarowym „Centrum” stoiska nadal puste, z wyjątkiem półek z galanterią męską, gdzie dyszący tłumek wydierał sobie skarpety. Bez zmian też w Rolniczym Domu Towarowym. W sklepie ze sprzętem rtv przy ul. Zawadzkiego nadal trzy prymitywne magnetofony szpalowe, które kosztują obecnie czterokrotnie drożej, i kilka byle jakich tranzystorów. Niewykluczono, że i tak znalazłby wdziesięć nowych nabywców, ale prócz pieniędzy trzeba tu okazać kwitek za odstawiony żywiec.

W sklepach z konfekcją pusto, z obuwiem tak samo. Są dostawy, ale niewielkie i błyskawicznie rozchwytywane.

W sklepach z artykułami spożywczymi — także bez zmian,

Obserwuje się jednak jakby spadek popytu na mięso. Zwykle dzienne rozprowadzono w Słupsku około 13 ton mięsa i przetworów. W drugim tygodniu lutego sprzedawano zaledwie 9–10 ton dziennie. W wyrafinowany sposób spadło zainteresowanie schabem, ale też tanim podgordlem. Wykupuje się, nie — jak uprzednio, całonocne, rodzinne przydatki, lecz częściami. Widać wysoka cena, a więc konieczność wydania jednorazowo kilku nawet tysięcy złotych,

znamienny, przełomu jeszcze nie czyni. Tak jak niewielki spadek czarnogłowego kursu walut. Nadal bowiem kwitnie drugi, rozległy rynek obiegu towarów i pieniędzy, rynek czarny. Dowodem coraz więcej afer i aferek spekulacyjnych; nie obserwuje się też, jak uprzednio optymistycznie zakładano, napływu wykupionych w nadmiarze w ostatnich miesiącach towarów przemysłowych do licznych punktów komisowych w placówkach WPHW. Nie ma oferentów.

rób gdański, po zwiększeniu jego produkcji wyprze z handlu waniłą kaliską, chyba że kaliszanie obniżą cenę.

Jeśli zadziała reforma. Ale czy zadziała na tyle, na ile się spodziewamy? Pewien niepokój może budzić interwencja państwa w proces ustalania cen. Myślę o cenach ustalanych przez rząd, które na jak najniższym poziomie mają utrzymać grupę artykułów przemysłowych powszechnego i podstawowego użytku. Intencje tej interwencji są oczywiście i słuszne, chodzi o ochronę kieszeni konsumentów. Tyle, że lista tych towarów, jak wskazują urzędowe komunikaty, drastycznie się wydłuża!

Niepokój ten bierze się z przynajmniej z dwóch powodów. Pierwszy — jeśli żarówka, która ostatnio również znalazła się na tej liście, kosztować będzie po wejściu 15 zł, podczas gdy koszt jej produkcji będzie dwukrotnie wyższy, to kto dopłaci producentowi tę różnicę? I z czego? Jasne, że dopłaci państwo, ściślej biorąc dopłacimy my wszyscy, przeplacając w nie uzasadniony ekonomicznie sposób za inne towary, co samo w sobie jest sprzeczne z istotą reformy. Szkodziłoby jest dla gospodarki, to oczywiście, że ten proces dofinansowywania zaczyna się eskalować.

Powód drugi: z chwilą, kiedy państwo pocnie dofinansowywać jakąkolwiek produkcję, zaniknie u producenta jakiejkolwiek staranie o utrzymanie się na rynku, a więc dążenie do podwyższania jakości wyrobu, zmniejszania kosztów jego produkcji. Bo i po co, skoro jest ten ktoś, kto chce wyrównywać straty w sprzedaży. Czy w ten sposób nie zaszczepiamy w gospodarce choroby, która już raz kompletnie nas rozkołysała?

Jeśli gospodarka, a więc i rynek, rządzący mają mechanizmy ekonomiczne, popyt i podaż, zysk, podatek, to nie mieszajmy w nią najsłabsze i najniebezpieczniejsze nawet gesty. Będzie nam ciężiej na początku, może nawet bardzo ciężko. Ale unikniemy kłopotów. Zebyśmy za kilka, może za kilkanaście lat nie musieli znowu zastanawiać się, po cośmy jedli tę żabę, którą dzisiaj z nadzieją nazywamy reformą.

ANDRZEJ RADZIK

Reforma... i co dalej?

jest — nie ludźmy się, tylko na razie — dość skuteczną barierą psychologiczną.

Mimo pustych półek, ruch we wszystkich sklepach — olbrzymi, nie mniejszy niż w poprzednich miesiącach. Nacisk na rynek nie zmniejsza się, przynajmniej w odczuwalny sposób. Gorączka zakupów opada wyjątkowo powoli. Jeszcze wśród wielu klientów działa miraż „okazji” nawet po nowej, wyższej cenie. Choć też pojawia się refleksja, ba, reakcja nawet. Sprzedawcy obserwują coraz więcej przypadków zwrotu zakupionych towarów, co przedtem nie zdarzało się. Są to na ogół zakupy nieprzemyślane, nie wytrzymujące próby ołówka. Ołówki i planowanie budżetu domowego jeszcze nie weszło w zwyczaj, co rozrzedza ostatnio społeczeństwu może przynieść bolesną lekcję. Na „miek” docierać będzie przecież coraz więcej towarów, szok cenowy objawi się nie z taką siłą, a do wypłaty będzie daleko.

Mimo reformy nadal odczuwa się brak poczucia stabilizacji i zaufania do nowych cen. Fakt pojawienia się w prasie większej niż w ostatnich miesiącach liczby ogłoszeń o sprzedaży samochodów, aczkolwiek sam w sobie

DOSC powszechnie, zarówno wśród klientów jak i handlowców, wyraża się przekonanie, że to nie reforma cen a zwyczajna podwyżka, bowiem ceny niemal mechanicznie podniesiono o górę mniej więcej trzykrotnie. Rozgardzaniu cenowego dowodzą dość liczne przykłady. Ceny narzędzi i wielu surowców rozprowadzanych w detalu przez Centralę Techniczną, jak dowiedziałem się w jej słupskiej placówce, są obecnie już drugi raz zmienione, tym razem przeważnie w dół. Pierwszą przeceną była bowiem właśnie mechanicznym powieleniem przez ustalony, dość wysoki mnożnik, co spowodowało do większych wynaturzeń cenowych niż było przed reformą.

Inny przykład: 16-gramowa porcja waniili, dostarczana słupskiemu WSS przez producenta w Kaliszu, ma nową cenę w wysokości 2,50 zł. Natomiast porcja 24-gramowa oferowana przez gdański zakład ma nową cenę w wysokości 2,40 zł. Oczywiście rozróżnić nakazywałby handlowcom skorzystać wyłącznie z oferty gdańskiej, co, kiedy jej wielkość nie wypełni zapotrzebowania rynku. Jeśli prawidłowo zadziała wolny rynek — wy-

PRZED
NOWYM
SEZONEM

Najgorzej u lekkoatletów

PRZECZ prawie półtora miesiąca kibice byli pozbawieni możliwości oglądania sportowych zmagani. Ale już od początku lutego zaczęto normalne rozgrywki. Nasuwa się pytanie, czy ta przerwa, nie przewidziana żadnym programem szkolenia, będzie miała wpływ na formę zawodników.

W najtrudniejszej sytuacji znaleźli się lekkoatleci słupskiego Gryfa. Jeszcze w październiku powołano do wojska siedmiu, a w grudniu czterech sportowców z tej sekcji. Tak więc spośród dwudziestoosobowego, podstawowego składu drużyny seniorów ponad połowa musiała przerwać treningi. Są wśród nich m. in. członkowie mocno zawężonej ostatnio kadry narodowej, a także zawodnicy objęci systemem przygotowań w ośrodkach szkolenia olimpijskiego — a więc z bezpośredniego zaplecza kadry.

Niedawno z tej jedenastoosobowej grupy wrócili do klubu: średniodystansowiec Czesław Mojżysz, długodystansowiec Jan Huruk, oszczepnik Stanisław Wittek oraz dziesięcioboista Andrzej Wyrzykowski. Mają oni jeszcze szansę nadrobić zaległości treningowe. Pozostali, jeśli rozpoczną szkolenie w marcu, będą mogli uzyskać rezultaty na poziomie ubiegłorocznym dopiero podczas ostatnich spotkań ligowych, a więc w sierpniu. Pozostali muszą uznać ten rok za stracony w karierze sportowej.

W tej sytuacji szanse utrzymania się słupskiej drużyny w I lidze stają się mało realne, tym bardziej, że PZLA wyprowadził nowy regulamin rozgrywek I ligi. W poprzednich latach zespoły kobiece i męskie walczyły oddzielnie. Od tego roku w myśl nowych przepisów do spotkań ligowych należy wystawić zarówno ekipę pań jak i panów. A w Gryfie, o ile mężczyźni mogą z powodzeniem konkurować z innymi drużynami, to lekkoatletki, poza Lidą Bierką, muszą jeszcze dużo pracować, by liczyć na zdobycie punktów w I lidze.

To wszystko — a więc włączenie startów kobiet oraz nieobecność kilku najlepszych zawodników — powoduje, że już teraz w klubie nie ukrywa się, iż I liga to tylko wspomnienie, chyba, że inne drużyny borykają się z podobnymi kłopotami. Wówczas szanse byłyby bardziej wyrównane...

Także w sekcji judo Gryfa zakłócony został normalny tok szkolenia. Z pracy w klubie odwołano kilku trenerów. Wprawdzie władze Gryfa starają się

zaradzić skutkom wyznaczając zastępstwa, ale nie zawsze przynosi to oczekiwane rezultaty. Inaczej, niż u lekkoatletów — nie ma problemów z przygotowaniem seniorów do najbliższych turniejów. Od lat wdrożeni do systematycznej pracy, znający swe słabe i silne strony, mogą nawet przy zmianie szkoleniowca kontynuować trening według wcześniej określonego programu. Gorzej z najmłodszymi — juniorami i juniorami młodszymi. Pogarsza się ciągle frekwencja na treningach tej grupy. Istnieje obawa, że może ona się rozpaść.

Bez większych zakłóceń przebiegają treningi koszykarzy Gryfa. Wprawdzie przez pierwsze dwa tygodnie po ogłoszeniu stanu wojennego nie odbywały się zajęcia, ale później prowadzone je zgodnie z planem. Szkoleniowcy nie przewidują, by ta przerwa miała istotny wpływ na formę młodych zawodników startujących w rozgrywkach juniorów. Pierwszy mecz ze Spójnią Gdańsk, który odbył się po ponownym rozpoczęciu turnieju został wysoko wygrany.

Najmniej skutki zmian odczuli piłkarze II-ligowego zespołu. Akurat trwał okres roztrębowania po rundzie jesiennej. Obecnie przygotowania do wiosennych meczów przebiegają zgodnie z planem. Odbył się już jeden obóz szkoleniowy, a także trwają mecze kontrolne z drużynami Wybrzeża.

W drugim słupskim klubie — Czarni — praca z zawodnikami trwała bez przerwy. W momencie ogłoszenia stanu wojennego dobiegała końca I runda meczów siatkarek, tak dobrze rozpoczęta przez nasze reprezentantki. Mimo że nie wiadomo było kiedy zostaną wznowione spotkania I-ligowe, nie zdecydowano się na roztrębowanie lub choćby zmniejszenie reżimu treningowego. Rozegrano kontrolne mecze ze Spójnią Gdańsk i Gdanią Gdynia. W tym czasie powróciła do zespołu po urlopie macierzyńskim Jolanta Kania-Szczygiełska, która już podczas pierwszego meczu po wznowieniu I ligi z Zawiszą Sulechów wchodziła na zmiany. Siatkarki Czarnych zakończyły I rundę spotkań na pierwszym miejscu, wyprzedzając Piłmierz Sosnowiec.

Pięściarze „Czarnych”, którzy po pierwszej kolejce zajmowali w swej grupie czwarte miejsce, ale mieli jeden mecz zaległy. Po okresie roztrębowania przystąpili do intensywnych treningów. Większa część ów szkoleniowych była prowadzona w ośrodku przy ul. Ogródowej. Prócz tego zawodnicy uczestniczyli w sparingowych walkach w Cetniewie, gdzie rywalizowali z członkami kadry narodowej przebywającymi tam na zgrupowaniu.

Można zatem przyjąć, że w Czarnych stan wojenny nie spowodował dotychczas istotnych zakłóceń w systemie treningów. Choć

klub nadal boryka się z trudnościami finansowymi (co wpływa na znaczne ograniczenie liczby obozów wyjazdowych), zdecydowano się w ostatnich tygodniach powołać nową sekcję — piłki siatkowej mężczyzn. Decyzja ta była zaskoczeniem dla kibiców. Istnieje jednak zespół siatkarki AZS przy słupskiej WSP. Prócz tego wiadomo, że szybko nie będzie można liczyć na stworzenie silnego zespołu.

Okazuje się, że w klubie od dawna noszono się z myślą utworzenia tej sekcji. W hali przy ul. Grottgera z powodzeniem mogą trenować i walczyć zarówno siatkarki jak i siatkarze. W początkowym okresie trzeba będzie nastawić się na pracę z młodzieżą. Przewiduje się już niedługo przyjęcie do sekcji chłopców w wieku 12—14 lat. W następnych latach będzie można myśleć o włączeniu się do rozgrywek ligowych. Podstawowym celem drużyny jest zakwalifikowanie się do II ligi seniorów. I liga nawet w najśmielszych marzeniach jest nie do osiągnięcia przy obecnych zasadach finansowania klubu i sportowców. Z pewnością już niedługo rywalizacja dwóch drużyn siatkarki w Słupsku przyczyni się do większego spopularyzowania tej dyscypliny w mieście.

Próbując zreassumować obecną sytuację w słupskim sporcie wychowawczym, można stwierdzić, że w większości sekcji kontynuują się bez przeszkód nakreślone wcześniej harmonogramy prac szkoleniowych. Martwi natomiast regres w lekkiej atletyce. Jest to zjawisko niepokojące.

Czyżby już w niedługim czasie rozgrywki I-ligowe miały stać się domeną tylko jednego klubu w województwie?

EWA WYPIORCZYK

Długo oczekiwano na wznowienie rozgrywek mistrzowskich ligi bokserskiej. Wreszcie na słupskim ringu — już w nowej hali przy ul. Grottgera mającej pomieścić ponad 2 tysiące widzów — doszło do rewanżowego spotkania pomiędzy Czarnymi Słupsk i Stalą Rzeszów.

Bokserzy zawiedli kibiców

Pierwsze z tych spotkań rozegrane na ringu rzeszowskim zakończyło się zwycięstwem Stali 13:7, a sensacją tego meczu była porażka K. Adacha z Zielńskim. Kibice i trenerzy zapowiadali srogą rewanż, a tymczasem... Czarni wygrali w mizernym stylu i to zaledwie 11:9.

Każde zwycięstwo cieszy, lecz kibice opuszczali halę zawiedzeni. Czarni to już nie monolity, zdolny sprawić miłe niespodzianki. Na dobrą sprawę nie ma drużyny. Jedynie trzech zawodników prezentuje poziom godny ringów I ligi. Są to: Ryszard Czerwiński, Kazimierz Adach i Czesław Dawiec. Nieco dalej można sklasyfikować Jana Kowalewskiego i Jana Urbanaka. I na tym kończy się lista uczących się bokserów Czarnych. A jeszcze kilka miesięcy temu byli w drużynie młodzieży, dobrze zapowiadający się zawodnicy jak Marek Pałucki czy Andrzej Zaniewicz.

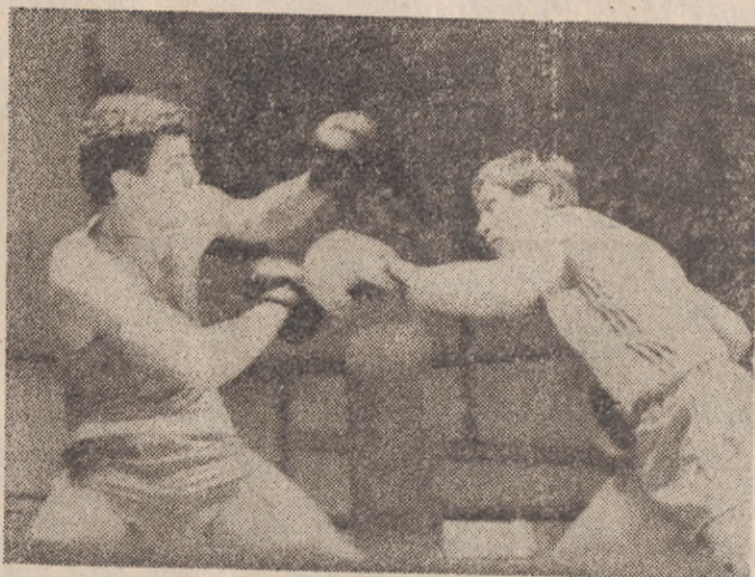
Drużynę, po sporych perturbacjach z zatwierdzeniem, zasilił młodzieżowy mistrz Polski w wadze papierowej — Tomasz Krupiński. Zapewne będzie on rywalizował z J. Urban-

nikiem o miejsce w wadze muszej, ale jest to temat raczej dalszej przyszłości. Urbanowski zresztą coraz trudniej utrzymać limit wagi muszej i chyba przejdzie do koguciej, jeśli R. Czerwiński opuści Słupsk. Tu w rezerwie jest młodzik Janusz Wysocki, po którym trenerzy sporo sobie obiecują.

W wadze piórkowej walczy aż czterech zawodników, z tym że A. Zaniewicz czasowo reprezentuje barwy Gwardii Koszalin. Oprócz niego Ryszard Wędrzinski, Wiesław Jastrzębski oraz wice-mistrz Spartakiady, Marek Kęckowski. W wadze lekkiej oprócz K. Adacha jest urodzony w 1964 r. Marian Wizar.

W wadze lekkopółśredniej nawzisk dużo, ale tylko Jan Kowalewski prezentuje od dłuższego czasu równą formę. Ani K. Degórski, ani pozostali: T. Tereszko, A. Włodarski czy J. Wyka nie mogą na razie rywalizować z doświadczonym kolegą.

Niestety, posucha panuje w dwóch następnych kategoriach, to znaczy półśredniej i średniej. Zygmunta Pyter nie spełnia nadziei, jest mało odporny na cio-



sy wdaje się w bijatykę, która z reguły kończy się dla niego przegraną przed czasem. Klasowy bokser Cz. Dawiec przed obokiem kadry w Zakopanem miał kilkanaście kilogramów nadwagi i zachodziła obawa, że nie będzie mógł wstąpić w wadze średniej. Jednak zaprawa, jaką zaaklimatyzował zawodnikom trener kadry Czesław Ptak zrobiła swoje i Cz. Dawiec porzucił swoje nadwagi. Wygrał ostatnio przed czasem w I rundzie, ale jego przeciwnik był słabutki. Nie jest to więc miernik jego obecnej wartości.

zycjami na klasowego zawodnika, ale nie na I ligę — przynajmniej dzisiaj.

Wreszcie Jerzy Stodulski, który należał do najsilniejszych w drużynie, jednak jego umiejętności są znikome. To strata punktów niemal w każdym spotkaniu.

Trener Aleksy Antkiewicz zaplanował o przetrwanie drużyny, nie wyrażał optymizmu.

— Nie widzę talentów wśród młodzieży. Może metody szkolenia nie dają praktycznego egzaminu, a może po prostu młodym

nie za bardzo chce się angażować w ciężki trening bokserski? Czarnym nie grozi degradacja, ale też nie widzę świetlanej przyszłości.

Trener kadry narodowej, Czesław Ptak tak ocenił spotkanie Czarni — Stal:

— Mecz słaby, typowa walka o ligowe punkty. Wynik zasłużony, chociaż można mieć zastrzeżenia do sedziów ringowego za zbyt szybkie odesłanie do narożnika J. Kowalewskiego. Zawiedli kadrowiecy: B. Maczuga i A. Brylak. W Czarnych najlepsze wrażenie zrobił Cz. Dawiec, K. Adach i J. Urbanek, który mógł wygrać walkę z B. Maczugą, gdyby nie przespał I rundy.

MAREK ORSKI

Tadeusz Wolny w barwach Słupska

Brydżowa liga zaczęła się i słupszczan bardzo dobrze przewodzi w lidze i wreszcie wskazuje na to, że to co udało się w minionych rozgrywkach, w tym roku zostanie zrealizowane. Chodzi o tytuł mistrza Polski.

Przewidywanie operamy m. in. na tym, że drużyna zmieni lidera z najlepszych poprzednich brzdęków — Tadeusza Wolnego, dotychczas reprezentującego Budowlanych Poznań. T. Wolny grał w wielu turniejach międzynarodowych, w tym o Puchar Euro w parze z Bolesławem Ostrowskim. Jest to obecnie jedna z najlepszych par w kraju.

(mef)

DZISIEJSZY, w pewnym stopniu jubileuszowy, odcinek moich rozmów z Czytelnikami o początkach najnowszej historii stolicy naszego regionu chciałbym poświęcić zjawisku, które ogólnie nazywamy administracją, a które w rzeczywistości jest spletem różnych złożonych zjawisk, natomiast niewątpliwie ma jeden czynnik wspólny. Tym czynnikiem są urzędnicy. Myślę, że warto temu tematowi poświęcić trochę uwagi.

Pierwsze notatki o urzędnikach, ich pozycji, postawie, roli i statusie społecznym znajdujemy już w najstarszych dokumentach historycznych.

W jednym z papirusów odnalezionych w Egipcie, pochodzących z około 14 wieku przed Chrystusem, w rozdziale poświęconym sytuacji chłopów czytamy m. in. Robaki zjadły wieśniakowi połowę żywności. Młóśtwo myszy wyłęgło się w polu, zaraza wytepiła bydło, wróble rozkredły ziarno. O niedo rolnika! A te resztki, jaka na klepsku została, złodzieje doszczętnie rozdrapali. A tu zjawia się pisarz, żeby zboże zabrać. Towarzysze jego mają kije w rękach, a Negrowie różgi palmowe. I mówią: „Oddaj ziarno!” — Nie ma go wcale. Więc rozciągają chłopów na ziemi, biją, wciągają, a potem wrzucają do kanału... Wzięją też żonę i biorą w pięta dzieci jego!”

Sytuacji samego pisarza-urzędnika poświęcony jest w całości inny papirus z tegoż 14 w. p.n.e.: „Kto zajmuje się piśmem, wznosi się ponad wszystkich ludzi całego miasta i ponad dworzan pałacowych. Wolny od wszelkich trudów służebnych, oswobodzony od wszelkich prac ręcznych, może on gardzić motyką i plugiem. No-

PIONIERSKIE LATA (10)

Urzednicy

sząc tabliczki i rylce, może patrzeć z góry na wioślarza. Nie zna on nędzy...”

Z przytoczonych wyżej zapisów papirusowych pochodzących sprzed trzech i pół tys. lat jasno wynika, że już w owych czasach nie tylko istniała warstwa urzędnicza, ale że się miała znacznie lepiej niż reszta społeczeństwa.

Jaki stąd wypływa wniosek? Urzędnicy byli, są i będą. Rzecz jednak w tym, żeby: po pierwsze — było ich w miarę, tzn. według społecznych potrzeb, po drugie — aby ciągle pamiętali o swej społecznej służbie. Jak uczy historia i wykazuje praktyka, te oczywiste, jakby się wydawało, warunki prawie nigdy nie są przestrzegane.

Tak było już 3,5 tys. lat temu i tak było również 37 lat temu, kiedy to w drugiej połowie 1945 roku tworzyła się na tych terenach administracja polska.

Jak wykazałem w poprzednich odcinkach, pod koniec 1945 roku liczący ponad 29 tys. mieszkańców Słupsk był już — co prawda trudnym — ale względnie unormowanym miastem. Ruszały zakłady produkcyjne oraz wspomagające przemysł, działała sieć handlowa, czynne były placówki oświaty i kultury, a także — służby zdrowia, opieki społecznej itd.

Aby życie społeczne i gospodarcze miasta mogło się normalnie toczyć, niezbędne były również biura i urzędy. Miastem zarządzał podporządkowany samorządowi

obywatelskiemu, czyli MRN i jej Prezydium, Zarząd Miejski, zatrudniający 294 pracowników. Dużo to czy mało? — trudno orzec. Oprócz typowych wydziałów, jak urząd stanu cywilnego, wydział finansowy, lokalowy itp., musiał mieć rozbudowaną agendę gospodarczą, gdyż — jak już wcześniej zaznaczyłem — miasto prowadziło gospodarkę na zasadach samofinansowania, a dochody czerpało nie tylko z czynszów i opłat, ale również z podległych sobie zakładów użyteczności publicznej: Miejskich Zakładów Elektrycznych, Miejskich Tramwajów Elektrycznych, Gazowni Miejskiej, Zakładu Wodociągów i Kanalizacji, Rzeźni Miejskiej, targowiska, łaźni, która występowała w dokumentach pod nazwą Kapieliska Miejskie oraz Miejskiego Szpitala.

Z egzekwowaniem dochodów z tych zakładów było różnie, o czym już wspominałem i jeszcze nie raz przyjdzie mi do tej sprawy wrócić. Np. Rzeźnia Miejska w 75 proc. pracowała dla wojska i to dla obu armii, które z zasady odmawiały płacenia dzierżawy. Podobnie było z zakładem kąpielowym — praktycznie cywile tam nie mieli wstępu, ale miasto od wojska grosza za usługi nie otrzymywało. Również Szpital Miejski zajęty był niemal w całości przez zwycięską armię, dla ludności wyznaczono jedynie 466 łóżek w budynkach znajdujących się poza głównym kompleksem szpitalnym.

Mimo tej sytuacji, utrzymanie pełnego stanu administracji dla obsługi tych placówek, należy chyba uznać za uzasadnione.

Trudno natomiast byłoby podzielić ten pogląd, jeśli idzie o pozostałe, rodzące się jak przysłowiowe grzyby po deszczu, biura i urzędy państwowe lub działające pod państwowym nadzorem. Jeżeli bowiem za oczywiste można przyjąć powstanie Urzędu Pocztowego, jak również to, że musiał on zatrudnić 157 pracowników, to w przypadku powołania Starostwa Powiatowego bezdyskusyjny wydaje się jedynie fakt utworzenia tego urzędu. Ale już licząca blisko 3 setki armia urzędników nowo powołanego starostwa wydaje się o nieco przesadna. Ba, żeby chociaż Starostwo załatwiała większość spraw związanych z normalizacją życia społecznego i gospodarczego — w mieście i powiecie. Ale gdzież tam! Równolegle działało około 30 różnorodnych biur i urzędów, zatrudniających w sumie kilka tysięcy pracowników biurowych. Poza Starostwem działały m. in.: Urząd Informacji i Propagandy, Powiatowy Urząd Ziemski, Izba Przemysłowo-Handlowa, Państwowy Urząd Repatriacyjny, Urząd Wodno-Melioracyjny, Urząd Skarbowy, Urząd Skarbowy Akcyz i Monopoli Państwowych, Brygada Ochrony Skarbowej, Urząd Celny... i tak 30 pozycji, osobno Inspektorat Szkolny i osobno Inspektorat Oświaty Rolniczej, pięć organizacji bankowo-finansowych i tyleż oddziałów różnych centralnych instytucji.

Jeżeli do tego dodamy kilka tysięcy pracowników administracji gospodarczej, zatrudnionych bezpośrednio w przedsiębiorstwach państwowych i spółdzielczych, a także w licznych biurach różnych organizacji i stowarzyszeń — będziemy mieli obraz, w związku z którym cisnie się pytanie: k'o zatem z owych 15 tys. osadników zanotowanych w 1945 r. pracował bezpośrednio przy wytwarzaniu dóbr materialnych?

Ale o tym oraz szerzej o biurokracji tamtego okresu — już w następnym odcinku.

Oprac. BADACZ

Tymczasem mijają tygodnie, a chłopci miast zajmować się świniami, krowami, jeżdżą jak żebracy od urzędu do urzędu często odchodzą z kwitkiem. W końcu za co biorą pieniądze ludzie na różnych stanowiskach?

Króć się z desek i grubej warstwy siłosa. To wszystko przykrył foliową plachtą. Na razie...

PECH DRUGI

Miał wprowadzić tylko trochę ponad 9 hektarów ziemi, jednak zapewniony przez naczelnika gminy, że będzie mógł kupić dzierżawione 7 hektarów, postanowił wybudować supermoderną chlewnię na 250 tuczników. Zlecił wykonanie projektu i zaraz do roboty przystąpiła Wojewódzka Spółdzielnia Budownictwa Wiejskiego (Zakład w Bytowie). Ileż to już minęło terminów zakończenia budowy! Sam gospodarz pomagał ile sił, ale pomocy nie stronił też synowie. Firma była dość partacka, bo fundamenty trzeba było rozwalac, mury stawiać na nowo. Wszystko miało być gotowe w ubiegłym roku, a tu mija powoli następny, a koniec wcale nie bliski...

Tymczasem Kadubiec wystąpił do naczelnika z formalnym podaniem o sprzedaż dzierżawionej przez siebie ziemi. Przez trzy lata zrehabilitował ją, wynawoził, zebrał wiele ton kamieni z roli. Dobrą opinię wydał również Gminny Związek Kolek i Organizacji Rolniczych w Wiku (23 września 1981), wskazując Józefa Kadubca jako nabywcę. Nic dziwnego więc, że 2 października 1981 r. naczelnik orzekł: „Ustalić Józefa Kadubca zamieszkałego w Gęsi na nabywcę nie zabudowanej nieruchomości rolnej oznaczonej numerem 42/4, o łącznej powierzchni 7,44 ha (...). Termin ważności niniejszej decyzji do 31 grudnia 1981 (...). Od decyzji niniejszej służy prawo odwołania do wojewody słupskiego za pośrednictwem naczelnika gminy w Wiku, w terminie 14 dni!”

Józef Kadubiec wpłacił do banku 10 procent wartości gruntu i był spokojny o przyszłość nowo budowanej chlewni, gdy nagle jak grom przyszła kolejna decyzja naczelnika. Wynikało z niej, że po rozpatrzeniu odwołania złożonego przez Stanisława Oparę, również z Gęsi, naczelnik cofa decyzję o sprzedaży gruntu

Kadubcowi i wyznacza nowych nabywców, wskazanych przez Kołko Rolnicze z Gęsi... Kogóż wskazało Kołko? Ano przewodniczący, a jest nim właśnie Stanisław Opara, wskazał SIEBIE i rolnika o nazwisku Judy...

Przeanalizujemy sprawę. Kadubiec ma nieco ponad 9 hektarów ziemi. Opara ponad 12 hektarów, a Judy prawie 18 ha. W ciągu ostatnich trzech i pół roku Stanisław Opara sprzedał państwu produkcję o wartości dwa miliony trzysta osiemdziesiąt tysięcy. Kadubiec zaś na blisko dwa miliony osiemset tysięcy. Judy z prawie 18 hektarów naprodukował w tym samym czasie za niecałe półtora miliona... Myślę, że te liczby można pozostawić bez komentarza. A co Kadubiec zrobi z nową świniaarnią na 250 stanowisk? Czy z 7 własnych hektarów wykarmi trzodę?

W Gęsi jest jeszcze wolna „funduszowska” ziemia. Dlaczego przewodniczący Kołka nie kupi innego kawałka, tylko uparł się na ten uprawiany od kilku lat przez Kadubca? Wiadomo, tu już złożona została praca. Tylko siac i zbierać!

Wróćmy do decyzji naczelnika. Przecież stół w niej jak wół, że ważna jest do 31 grudnia, że odwoływać się trzeba do wojewody... Oczywiście mam na myśli pierwszą decyzję.

Teraz prawdziwy kwiatek. Od drugiej decyzji naczelnika przysługiwało Kadubcowi odwołanie do wojewody. Ale czy to przez zaniechanie, czy zapomnienie, doręczono ja panu Józefowi po terminie odwoławczym, na co posiada dowód...

Od mieszkańców wsi Gęś dowiedziałem się, iż jeden z nowych nabywców spornego gruntu, spalił ubiegłego roku zboże z kilku hektarów. Prawdopodobnie nie zdążył zebrać...

Mimo wszystko Kadubiec odwołał się do wojewody słupskiego. Jestem przekonany, że wojewoda po rzetelnym zbadaniu sprawy wyda sprawiedliwą decyzję

PECH TRZECI

Może zgodnie z regułą „trzech” — ostatni?

Tak naprawdę, mimo trwających jeszcze robót wykończeniowych Kadubiec mógłby już wprowadzić do chlewni świnie. Ale nigdzie nie ma parników... W Słupsku może dostać trzy 150 litrowe i to na razie urządziłoby go tylko że komini w chlewni jest jeden... Poza tym co za robota w kilku garnkach ta sama strawa warzyw. Dostałby parniki w Gdańsku, ale tam sprzedają tylko swoim... Umyślił więc, i bardzo mądrze, że kupi stacjonarną kolumnę parnikową. Napisał do wytwórcy i dowiedział się, że produkcję wstrzymał.

Ten pech zakupowy jest złożony z wielu elementów. Podjechał pod stację benzynową pokazał specjalne upoważnienie wydane legalnie przez właściwy urząd i kazano mu tym upoważnieniem... Nie, nie potrafisz tego napisać!

Za pozostanie na gospodarce chciał synowi straszemu kupić samochód. Napisał do ministerstwa i otrzymał odpowiedź negatywną. Potem dowiedział się, że inny rolnik właśnie tą drogą nabył samochód. Teraz synowie huntuja się. Obydwaj Powiadają że gospodarowanie nie ma żadnej przyszłości bo wszystko idzie jak po grudzie. Pójdą do miasta odebrać osiem godzin, potem nogi na stół i teluwizja...

Już doprawdy nie wiem. Może ten Kadubiec to zły rolnik? Może to władza ma z nim nieustanne utrudnienia? Wierzę, czegoś chce! Tylko z drugiej strony — skąd wzięły się te produkty o wartości 2 milionów 800 tysięcy z jego małego gospodarstwa?

Gdy chłop ma pecha

ZBIGNIEW JANISZEWSKI

c.d. ze str. 5

Papy jest tyle, co kot napłakał i naczelnik przydziela po jednej rolnce, by chłopki naprawili dachy choć nad łózkami w chałupie. Złotał się też nad Wieklem naczelnik z Lęborka i obiecał trochę cegły.

— Całą sprawę wypobrażałem sobie inaczej — mówił jeden z pracowników Urzędu Gminy. — Myślałem, że w województwie zaraz po wichurze zbiora melonki z terenu, zrobią zbiorowe zapotrzebowanie na materiały niezbędne do usunięcia szkód i w trybie natychmiastowym wszystko załatwią. Tymczasem mijają tygodnie, a chłopci miast zajmować się świniami, krowami, jeżdżą jak żebracy od urzędu do urzędu i często odchodzą z kwitkiem. W końcu za co biorą pieniądze ludzie na różnych stanowiskach? Za samo siedzenie za biurkami? Rolników nie urząda samo odszkodowanie z PZU. Banknotarni dachów nie pokryją! Józef Kadubiec ułożył nad głowami

ZBLIŻENIA

Tygodnik Społeczno-Polityczny, pismo Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Redaguje kolegium: Wiesław Wiśniewski — redaktor naczelny Andrzej Radzik — zastępca red. naczel., Tadeusz Martyniuk — sekretarz redakcji oraz zespół: Zbigniew Babiarz, Zych, Zbigniew Janiszewski, Jan Majzeluk — fotoreporter Zbigniew Pakula, Elżbieta Poturaj — redaktor techniczny, Leonarda Ulaniczka, Anatol Ułman, Ewa Wyborczyk — Adres redakcji: 76-200 Słupsk, ul. Sienkiewicza 20. Telefony 65-38 — sekretariat (red. naczel.) i 65-41 — sekretariat redakcji. 30-12 — działy społeczno-polityczne, społeczno-gospodarcze, kulturalne, sportowe, wydawnicze. „Prasa — Książka — Ruch” Kieralnickie Wydawnictwo Prasowe Druk Prasowe Zakłady Graficzne w Koszalinie. Ogłoszenia przyjmują: Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Pawła Fintera 27A i 27B Koszalin, tel. 222 91 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa — Książka — Ruch” na terenie całego kraju. Ogłoszenia do tygodnika przyjmuje również Ekspozytura Biura Reklam i Ogłoszeń, ul. Sienkiewicza 20 76-200 Słupsk, tel. 31-95. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Informacji o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 260 złotych. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-953 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153 201045 139 11. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Nr indeksu 383993 C-8

JARMARK ROZMAITOSCI

TYGODNIOWY HOROSKOP DLA UFNYCH

Wiedomo, że znaki zodiaku, pod jakim człowiek na świat przychodzi, nieomylnie są wskazówką jego losów. Za mniemanie takim przemawia przodująca nauka średniowieczna, zwana astrologią. Ufnie i mocno wierząc w jej dokonania, podawaliśmy wam w Czytelniku, co każda czynić (lub czego nie robić) gwiazdy w nadchodzącym tygodniu. Nie przyjmujemy odpowiedzialności za treść porad, natomiast całkowitą — za ich naukową rzetelność.

BARAN — zakochasz się w przystojnej, mądrej i bogatej osobie. Jeśli chcesz zdobyć jej względy, przez cały tydzień gotuj jej ulubione gołąbki faszerowane baraniną. Wiedzą, że miłość to uczucie kruche i piękne.

BYK — dobry tydzień dla korzystnych interesów: być może nabędziesz w „Jubilerze” blaszany budzik. Trafi Ci się także czapka z białego lisa za dziewiętnaście zaledwie tysięcy, ale uważaj: lis jest farbowany.

BLIŹNIĘTA — czytaj wiersze współczesne wieczorami: doznasz ukojenia oraz zrozumiesz przewagę duchowych wlotów nad witalnymi radościami obracania się wyłącznie w świecie materialnych rzeczy. Na ból głowy po wierszach dobry jest okład z ręcznika przesyconego octem.

RAK — w dni nieparzyste unikaj chodzenia po śniegu, gdyż możesz upaść, także moralnie. W parzyste nie uczęszczaj po drogach oblodzonych.

LEW — miła przesyłka, którą doręczy poczta, w niej, między innymi, wełniane skarpety, guma do żucia i guma do wulkanizowania. Okazuje się, że jednak posiadasz krewnych za granicą, chociaż o tym nie wiesz.

PANNA — szczęśliwe dni do uprawiania hazardu, zagraj w Totka: czeka Cię cały tydzień podniecająca nadzieja, a po losowaniu miła współczucie otoczenia. Wygrane liczby na siódmej stronie każdej tabeli logarytmicznych.

WAGA — uważaj, kiedy kupujesz twaróg: ekspedientka oszukuje na wadze, ale to dobry człowiek. Uśmiechnij się do niej, a przeważy.

SKORPION (NIEDŹWIADEK) — podaruj sąsiadce bukiet kwiatów, najlepiej polnych. Posiada ona różne zapasy, którymi się wtedy podzieli.

STRZELEC — konfiguracja niesłuchanie sprzyjająca nawiązywaniu przyjaźni. Ale pamiętaj: niewłaściwy przyjaciel może Cię uprzykrzyć na całe życie, a i jeszcze dłużej. Właściwego rozpoznaje się, gdy za późno na zmianę przyjaciół.

KOZIOROŻEC — w nadchodzący wtorek miłe odwiedź. Pochwyci wszystko, natomiast okaż całą swą serdeczność.

WODNIK — radzę przemysleć aforyzm mistrza: „Zapaliłem dwie lampy, mówiąc: oto jedna jest moim rozumem, a druga uczuciem. Potem gasiłem je na przemian: zawsze było o połowę mniej światła”.

RYBY — jutro wysładź Ci lodówka. Użyj perswazji, a zacnie działać. Wiedzą także, że RYBY powinny jeść ryby. W rybach jest fosfor, od fosforu rozum. A rozum nakazuje Ci spożywać coś poważniejszego za tę cenę.

Doc. astr. MARABOUT

BEZ BIUROKRACJI

Jeden z zakładów na Śląsku postanowił robić tzw. foliaki — szkielety powleczone folią, stosowane w uprawie warzyw. Okazało się jednak, że prototyp musi być poddany skomplikowanym badaniom naukowym, przed u-

zyskaniem atestu powinien przejść rozmaite próby itd. Rolnicy takie foliaki robią z rurki i nikt od nich atestów — zupełnie zresztą słusznie — nie żąda.

(„Trybuna Opolska”)

BARDZO skromnie i spokojnie miła tegoroczny karnawał. Jakby go wcale nie było. Nie znaczy to jednak, abyśmy nie mieli zaliczyć tłustego czwartku, który akurat nam dziś nastał.

Jestem przekonany, że jak co roku słupscy cukiernicy nie zapomnieli o tej okazji: aby tradycji stało się zadość — przystawiali smakowite, lukrowane paczki. I że, jak zwyczaj, w parę paczek konsumenci znajdą niespodziankę w postaci bonów, upoważniających do odbioru tortów Radzę zatem nader ostrożnie nalaśzować te zapustne delikacje.

Jedną z Kitowicz, znakomity samolotnik polski (1878—1904), wymieniając w swoim „Opisie zwyczajów i obyczajów” najbardziej popularne potrawy staropolskie, wspomina między innymi, że paczki także były znane, tylko, że „trafiwszy takim paczkiem w oko, mógłbyś je być podziwiał”. Strach pomyśleć...

Na szczęście działo się to

kilka wieków temu. Dziś paczek jest tak delikatny i pulchny, iż nawet ściśnięty w rękę, na powrót pęcznieje, jak gąbka do swej objętości powraca, a wiatr mógłby zdmuchnąć go z półmiska.

A już z najlepszej jakości słynęły kiedyś paczki pochodzące ze znanej niemal w całej Polsce cukierni Bliklego w Warszawie. To były delikacje, istne „niebo w gębie”.

Skoro sięgnęliśmy pamięcią do czasu sprzed lat kilkudziesięciu cofnijmy się jeszcze bardziej w zamierzchłą przeszłość, aby dowiedzieć się o źródłach paczki. Specjalnie zaczyna swój rodowód od słowa „pek”, następnie poprzez analogię z „pączkiem” (organem roślinnym składają-

cym się z zawiązków lodygi, liści, pędów bocznych i stożka wzrostowego lub kwiatów) ustalili się jego ostateczna nazwa. Twierdzenie, że nazwa tego wypieku cukierniczego wywodzi się od „pękania”

nie wydaje się być słuszne, a jeśli już to raczej od słowa „pekaty” — co znaczy „odety, opasy” — a więc nawiązującego do kulistego kształtu paczki.

Często mówimy do kogoś, że wygląda jak paczek w masle, co jest aluzją do jego doskonałej kondycji fizycznej. Dziś zwrot ów stracił o tyle na aktualności, że frakturę używaną do smażenia paczków stanowi oliwa lub mieszanina tłuszczów.

Przy sposobności warto po-

święcić kilka uwag pochodzenia drugiego rarytasu, tak chętnie spożywanego w tłusty czwartek. Chodzi tu mianowicie o chrust, gdzie indziej faworkami zwany. W Krakowie przyjęła się nazwa

chrust — w Warszawie natomiast faworki. A powinno chyba być odwrotnie: ponieważ przemawia za tym fakt, iż faworkami w stroju krakowskim nazywane są barwne wstążki lub taśmki związane pod szyją u kosał.

Chrust to pochodna „chróstu” — „pięciżywa chróstowego” — słowa ze źródeł prasłowiańskich faworki zaś legitymuje się genealogia francuska. Jak wiemy, są to ciastka nadzwyczaj kruche („chróstzące”), w postaci wi-

FRASZKI Z OSTATNIEJ CHWILI

MOTTO

Zucie jak Bałtyk
Jaka młotem
centra burzyny
i zwykłe śmiecie...

POLITYKIER

Na każde czasy
ma w rękawie asy...

Wśród mędrców
— mówców jest bez liku.
Wśród mówców
— męrców zaledwie kilku.

ZAPOBIEGLIWY

Z funduszy
na polskie jutro
uszkodził
na auto i jutro

Wielu wojewodów
kronikarz zamaczył
jako budowniczych...
luksusowych dacz.

ZAKOCHANY

Prominentnej córki
całując kolana
szepotał w uśpieniu
Kariery ukochana!

PLOTOMEUSZ

NA OSI

Telewizyjny Kurier Warszawski podał, że po 4 latach budowy Centrum Onkologii w Warszawie stwierdzono, że 54-metrowy budynek znajduje się na osi pasa startowego lotniska Okęcie i samoloty startujące czy lądujące powinny weń uderzać.

(„Standard Ludu”)

TRZEBA ODSTAĆ

Z Gdańska do Krakowa leci się niewiele ponad godzinę. Ale kupno biletu na tę przyjemność w kasie LOT-u przy ul. Wały Jagiellońskie w Gdańsku trwa 2 godziny. Kasę wspomaga komputerowy system rezerwacji miejsc, kupiony za dewizy. U nas każdą nowoczesność trzeba odstąpić. („Głos Wyrzeża”)

KRZYŻÓWKA

Do rozwiązania krzyżówki przesyłamy wszystkie jej litery, zgodnie z ich odpowiednikami liczbowymi, do diagramu dolnego. Tak uporządkowane, czytane rzędami poziomymi, dadzą rozwiązanie, którym jest sentencja Sława Miła Wroblewskiego!

POZIOMO: — 18) kanton w śród Nowej Szwajcarii; 33) „chodź” za nami w dni słoneczne; 5) zakres działania, kraj zainteresowań; 24) męta, bóg, ow. męta; 25) nieduży kawałek chleba; 26) czerwony solenizant; 30) ukazuje się raz w pełni, to znów chudnie; 31) lśniąca ze śniegów wierzyna Himalajów; 43) rzeka przepływająca przez Nizinnę Europy.

PIKOWO: — 10) niskopiętrowa ruda żelaza; 42) prawy dopływ Rodanu; 17) formuła przyręczenia, przysięgi; 36) moneta dawkowa, nie tylko w USA; 5) zwierzę z falkami i szablami; 23) główny ośrodek Kozaków zapożyczony; 30) miasto polskie nad rzeką o tej samej nazwie; 1) posługujące się językiem ludzki.

Ułóż „SAS”

Rozwiązania prosimy nadesłać do redakcji na kartkach pocztowych — z dopiskiem „KRZYŻÓWKI” — najpóźniej do przyszłego czwartku. Do rozlosowania wśród Czytelników: 1 NAGRODY KSIĄŻKOWE.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 49/1981

POZIOMO: radio, specjal, następnego, krośno, laterka, trykot, sznyc, stodoła, ziarno, kolnierz, barył, słowa.

PIKOWO: kongler, latka, piasek, cudo, losos, epik, rzyśko, storno, frezla, region, sillas, praczka, dziób, Tuła, dział, Rysy, okno.

NAGRODZENI

Nagrody książkowe za bezbłędne rozwiązanie krzyżówki z nr 49 (103) wylosowali:

- 1) Kazimierz Antoni, Smardzewo, 76-100 Sławno;
- 2) Ada Gajna, ul. Zjednoczenia 22, 44-5, 47-100 Nowa Sól;
- 3) Ryszard Sokołowski 23 d. m. 1, 75-445 Koszalin.

Siniec od... paczka

nie wydaje się być słuszne, a jeśli już to raczej od słowa „pekaty” — co znaczy „odety, opasy” — a więc nawiązującego do kulistego kształtu paczki.

chrust — w Warszawie natomiast faworki. A powinno chyba być odwrotnie: ponieważ przemawia za tym fakt, iż faworkami w stroju krakowskim nazywane są barwne wstążki lub taśmki związane pod szyją u kosał.

jących się wstążek, posypa-
ne mialkim cukrem.

Właśnie — a propos cukru. Mało kto wie zapewne, że nie był znany w Polsce, podobnie zresztą jak w większości krajów Europy oraz do końca XV wieku. Przez bardzo długi okres czasu zaliczano go do kosztownych leków. Dowodem tego tak rzadkim gościem był cukier na stołach Sarmatów, może być historyczny przekaz, że jeszcze w roku 1744 podczas przejazdu króla Stanisława Augusta przez Kobryn (miasteczko nad rzeką Muchawcem), przebiegnął tamtejszy gminny ty-

tuje wiadomości mam do przekazania z okazji tłustego czwartku. Wpada tylko ty-czyli wszystkim chętnym, aby mogli zakupić sobie bodaj parę paczków ewol. podtrzymania tradycji i aby kolejni nie byli kilometry...

Smacznego!

(BUK)